



1301.

BIBLIOTEKA Zarząd Opatowski	
Dz. 11	Nr 54
Polskiej Rady Szkolnej w Świdkach	



ofiarował
opatowski.

A Kęglarska
Drużyna Harcerska
im. B. Chybańskiego
w
Świdkach



Im. B. Głowackiego

4301

BIBLIOTEKA I M. D. H.
Im. B. Głowackiego
w Suwałkach

12. W SUWAŁKACH 50

Polskiej Macierzy Szkolnej
w Suwałkach

ZE ŚRODY NA PIĄTEK

BIBLIOTEKA I M. D. H.
Im. B. Głowackiego
w SUWAŁKACH.
B. _____ L. _____ L. In. _____

BIBLIOTEKA I M. D. H.
Im. B. Głowackiego
w Suwałkach



26/52

Nr. in^o 1494

130!

KORNEL MAKUSZYŃSKI

ZE ŚRODY NA PIĄTEK

Z 7-ma ilustracjami i okładką
M. WALENTYNOWICZA

BIBLIOTEKA

im. B. Głowackiego
w SUWALKACH

D. ___ L. ___ L. in.



Wydawnictwo G. i J. Gebethner i Wolff
w Suwałkach.

NAKLAD
GEBETHNERA i WOLFFA
WARSZAWA



G. 2

821162.1-1

Praca naukowa i techniczna

Ms. inv. 1484

PRAWDZIWA LEWONTANKA

BIBLIOTEKA I M. D. H.

Dr B. Głowackiego
W SUWAŁKACH

L. In.



Nr. in 1494

BIBLIOTEKA I M. D. H.
M. B. G. kiego
W SUWAŁKACH
D. L. L. in.

Ponieważ należy przypuścić, że każdy z nas był kiedyś dzieckiem, chyba że, naśladując wzniosłego chińskiego mędrca Lao-Tse, już w chwili narodzin, tak jak on, liczył równo osiemdziesiąt dwa lata, pewnym niemal być można, że każdy z nas zna uroczą bajkę rozkosznego pana Andersena p. t. „Prawdziwa księżniczka”. Pod siedem piernatów, na których miała usnąć, włożono ziarenko grochu, a ona, że tak niezmiernie była delikatna, odczuła jego ucisk.

Opowiadanie to jest śliczne i przedziwnie śmiesznie zmyślane przez wielkiego poetę bajki, który w dalekim kraju, pachnącym sztokholmem, transem i śledzinami, o takich wiotkich i wońnych marzył księżniczkach. Historia ta, kiedy z zachwytem ją czytałem, niespodzianie przypomniała mi inną, którą jednakże tę ma wadę, że się prawdziwie zdarzyła. Opowieści takie, aż nazbyt prawdziwe, są zarzeczajbrzydkie, chociażby dlatego, że się stały, że ludzkimi na nie patrzono oczyma i że szeroko o nich rozprawiano. Piękne jest zawsze to tylko, co się nie stało, a najpiękniejsze to, co się nigdy,

przenigdy stać nie może, a o czem waiysey ma-
rzymy.

Historja, którą tu opowiem, z pozoru tylko wy-
gląda na bajkę, ale nią nie jest. Można to stwier-
dzić każdej chwili w archiwach miasta Lwowa,
gdzie niedawno znalazłem stary rękopis, będący
zbiorem nadszaleniejszych zdarzeń z żywota wspan-
iałego legomiasła w wiekach minionych, które tak
skruszały, jak stare mury, wichrami i dżdżami po-
bite. Nieznany kronikarz nie czyni wrażenia lga-
rza, zapisuje bowiem imiona i czas dokładny,
~~w przeczach zaś pamiątkę jedną~~ a drugą opowie-
ścią, jakgdyby chcąc wytchnąć i znużone serce od
ciężaru wielkich zdarzeń uwolnić, ztajemnych do-
zatem powodów, wylicza ilość wypitego przez sie-
bie wina w gospodzie przy ulicy Ruskiej. Już to
samno świadczy o wzniesłości duszy tego człowieka
i o jasności jego myślenia. Kronikarz, samą wodę
pijący, zaprawia nią swoje dzieło i niechętnem
okiem patrzy w mroki dziejowe, które rzadko by-
wały trzeźwe.

Rękopis oznaczony jest liczbą 43273 b i na swo-
jej szarości ma ślady krwi. Niektórzy jednak ba-
daczce, którzy szacowny ten szpargał mieli w ręku,
twierdzą jadowicie, że nie jest pewne, czy plamy
takie zostawia krew, pewne jest natomiast, że je
pozostawia tęgie, czerwone wino moldawskie. Zła
to jest niegodna zapłata zatrud człowieka, co czas
swój, sta pierzechliwy, przyoblekł w ciało wdzicza
neg^o słowa.

Nie będziemy tu powtarzali ciekawej tej opowiesci w całej jej osnowie. Zaczekała namle ona z tego ~~właśnie~~ powodu, że, chociaż prawdziwie zdarzona, bardzo jest podobna do bajki o „prawdziwej księżniczce”. Andersen nie znał z całą pewnością tej lwowskiej historii, zdumieć się przeto należy tem, że często zdarza się w rzeczywistości coś, co na bajkę zakrawa.

Działo się to, kiedy islamowi przewodził Padyszak Arun ar Moshed, mąż wielce światły i — sądząc z okarzałości brody — starzec potężny. Siedząc na siedemdziesiąt usłedniu poduszkach, z niezmiernym swoim zmagal się rozumem, a w yblosie sklepienie czoła zasłoniła mu chmura ~~zawątpienia~~ Powad nią, jak słońce, migotał wielki diament w turbanie, lecz wśród jego łęcz tem czarniejszą wydawała się troska pana żywotów ludzkich, końskich i wielbłądzich. Wiele mąż ten widział, wiele przeżył i jeszcze więcej przemyślał, żywot ludzki bowiem wlece się jak żółw ku swojej śmierci, myśl zaś — jak to już zauważyli mędry — bieży szybciej, niż strus po pustyni. Znal kruchość wszelkiej rzeczy, znał jej marność, mniej wartą, niż uschnięty nawóz wielbłądzi, który przydać się może do nakarmienia ogonia. Po stokroć rozważyl tedy, zapim ~~czokolwiek~~ uczynił, ~~zanim~~ zaś wypowiedział słowo i na świat je wydał, jak niewiasta dzieciątko, w pomroceducha ~~przypatrywał~~ mu się chytrze, rozgryzał je zębami serca, smakował je i długo nad niem emokat, czyniąc w tej mierze jak człowiek

z pospólstwa, co, zanim kupi garść pestek dyni na Wielkim Moście, długo i rozważnie jedną smakuje. Tak samo czynił, ilekroć miał nową kupić odaliskę. Jak przemyślny handlarz koni natolską bada klacz, tak on badał wtedy nałobną dziewicę, rozważnie licząc jej zęby i mierząc grubość nogi w pięcinie. Można jednak żyć lat sto i siedemrazy po sto, i jeszcze dziesięć lat dłużej, a być zawsze oszukany, pewnej jestem bowiem, że i sam Prorok, z bystrych najbystrzejszy i z mądrych najmądrzejszy, nie dostrzegłby hłędu w kobiecie, gdyby go ukryć postanowiła. O tem właśnie rozmyślał Pan Wschodu i Zachodu, a z wątpieniem drżał oponad nim, jak czarne pióro strusia, przeznaczone do spędzania natrętnych much z dostojnego stoła. Łatwiej jednak pojąć muchy, niż myśli, na czarnych połatujuące skrzydłach.

Nie była to już jego własna sprawa. Cóż mu bowiem kobieta? Naturalnym porządkiem rzeczywiście męskie dawno już od niego odeszły, na pociechę zostawivszy mu rozum niezmjerny i biogę, wspomnioną wprawdzie, lecz mało do celów miłosnych przydatną. Tak chce kismet, osiołuparty i w postanowieniach swoich zawzięty. Padyszach miał jednakże syna, draba moenego w sobie i tak urodziwego na gębie, że coczulsze dziewice, zdalekie jegipskiej ziemi, albo też syryjskie, do róż ledwie rozkwitłych podobne, na sam jego widok stawały się ciemnami, ku niezmjernemu podziwowi czcujących. Smukły był jak palma, gorący jak samum, burzli-

wy jak chmura, czaruy jak szejtan, zbudowany
 wspaniale jak ów Antar, o którym śpiewają pieśni,
 piękny jak miłosnakasyda, szybki jak strus, prze-
 myślny jak szakał, odważny jak lew, mądry jak
 wąż. Rozbieganego konia chwytalza rozwianą grzy-
 wę i ua miejscu osadzał, a z lwem potykał się pierś,
 o pierś, jeśli się tak dziwnie zdarzyło, że lew nie
 pierchnął już na sam jego widok. Wtedy bowiem,
jakto odrązu w yrozumieć można, nie miał się z klm
 potykać.

I óh, jak jego dostojnyojciec — (obył w wiecz-
 nie i jeszcze dłużej!) — miał na własny użytek sto
 odalisk, wybranych z mnogich kroców. Nacóż się
 to jednak zdało? Jak kiedy ogier pełnej krwi
 wpadnie do sultańskich ogrodów i kopytami naj-
 rzadsze zabija kwiaty, jak kiedy sanum, na gorą-
 cych cwału jący wichrach, wiotkie napadaie palmy
 i rzewnie płaczące daktylowego pozbawia żywota,
 tak on siał zniszczenie wśród owych kwiatuszków,
 przywiezionych z krańców ziemi. Były to dziewice
 wiotkie, jak tchnienie zafira, misterne jak miłosna
 pioseuka, blade jak poranek, albo tak tylko zaru-
 mienione jak płatek róży, kiedy jej słowik śpiewa
 nieskro mne piosenki. Kiedy się śmiały, to jakbyś
 słyszałleciutki szelest przesiewanych pereł, a kiedy
 płakały rzewnie i cichutko, to jak fontanny o św-
 cie szemrzące. Łzy ich były srebrne i tak pachnące
 jak różany olejek, albo jak nard, albo jak poranna
 rosa. Dziewice te kruche były jak tęczowe szkło,
 pierchliwe jak letnie obłoki, smętne jak spojrzanie

wielbłąda, lekkie jak różowe sny kochanka, kiedy kochanek ów nie spożył na wieczerzę ani pilawę, pływającego w tłustości, anibaraniiny, mocno czosnkowa pachnącej, lecz dwa pocałunki i trzy westchnienia.

— Jakież potomek, jakież to dziedzic tronu narodzi się z miłości rumaka i wiotkiej lilji? — myślał Padyszach, (oby żył przez całą wiec zność i zostawił ją we wdowieństwie!)

I zaprawdę sprawiedliwie to rozważał w niezmiernym swym rozumie. Kiedy zaś on raczył rozmyślać, syn jego z tego samego powodu zgrzytał ścieżystemi zębami, stęskniony do miłości potężnej, podobnej do czarnej burzy, co ogniami całe rozkrawia niebo. Widząc nieznośnie ultra pięknie swego pana, conieszmielnościami palcami raz po raz rozgarcał srebrzystość swojej brody, jakgdyby w niej chciał znaleźć radę doskonałą, pudł przed nim na brzuch dozorca rzeźbiów i wydał z siebie głos dziwny, a tak cienki, jak jedwabna nić; głos ten był niekwestuną zapłatą przyrody za niejaki uszerbek, wgg wczesnej młodości człowiekowi temu uczyniony

— Władco świata! — zaśpiewał ów dostojnik — wiem, co cię tru pi. Pragniesz dla syna swojego żony, która byłaby jak skała, potężnej, a pięknej, bujnej jak oaza, silnej jak lwica, zgrabocj jak antylopa. Ja wiem, gdzie można znaleźć takie dziwo

— Mów, jeśli ci życie mile! — zakrzyknął Padyszach

— Jest kraj potężny, który zowią Lechistanem, w tym zaś kraju jest gród, który gniaury zowią Lwowem. Tam znajdziesz tę, o której marzy twoje serce.

— Jeśli to prawda — zawołał Padyszach — jeśli tam znajdę tę, której szukam ode Wschodu do Zachodu, po całej niezmierniej ziemi, otrzymasz wszystko, czego zapragniesz.

Zasmęcił się dostojnik i cienko zaśpiewał:

— Tego, czego ja pragnę, nawet i ty mi dać nie możesz, Najjaśniejszy Panie...

— O, nieszczęsny! — rzekł mu smutno Padyszach. — Lecz nie rozpaczaj, bądź mężczyzną... nie, nie... chciałem rzec: bądź mężny!

A zaraz potem nakazał wielką wojnę i połowę świata ruszył, aby zdobyć dziewięć z Lechistanu, z tego grodu, który wziął imię Iwa. Straszliwa to była awantura i wszystkim pamiętna. Dziwili się później dziejopisowic, skąd ta wojna i skąd ta zawziętość niezmierna przeciwko miastu jednemu, bo nikt przypuścić nie mógł, że tylko o dziewięć wielklesię z sobą zmagają potencje. Mordowanotnążów, niewiasty zaś, co młodsze, brano w jasyr, tak, że dnia jednego na dziedzińcu marmurowym pałacu Padyszacha zebrano tysiąc dziewięć, a może i więcej. Kwiaty to najcudowniejsze zakwitły na ~~rozstanku~~ rach, a słońce dłużej dnia tego świeciło, promieni stęgo oka nie mogąc oderwać od tego żywego ogrodu.

Patrzył Padyszach i cmokał w niezmiernym po-

dziwie; gładził srebrzystą brodę i oczy wywracał, bo chociaż żył długo, nie widział jeszcze takich ponęł przedziwnych, godnych raju. Kazał się stawie nadzorny rzeźbić i rzekł:

— Wszystkie one pochodzą z Lechistanu i wszystkie są najpiękniejsze. Jakże teraz poznam, która jest ze Lwowa, abym ją uczynił światłością moich oczów i małżonką tego, który będzie władał światem?

— Wybadajmy je, panie! — zapisał dostojnik. — Miastatego zdobyć nie mogliśmy, więc niewiele ich stamtąd będzie.

Okazało się, że jedna zalewicie porwała została u bram Lwowa, kiedy przed nią wybiegła, aby ugać zastępom władcy świata.

— Znam sposób — zaśpiewał rzeźbiarz — aby się przekonać, czy dziewica prawdę powiada i czy nie ma podwójnego języka.

Naradzali się potem tajemnie przez siedem dni (siedem razy, wreszcie uczynili) rzecz straszliwą: na golą białą marmurową nasypali mnóstwo kołców cierniowych, ostre kamyczki, tysiąc ziarenek grochu, szkła tłuczonego i wielką mnogość drobnych przedmiotów, twardych straszliwie i straszliwie ostrych. Na tem położono tkaninę z najcieńszego przedziwa, wyrabianego w mieście Mossul, stąd nazywanego muślinem. Przywiedli potem tę, która się powiadała lwowianką, piękną jak łania, z nogą gazeli, z włosami jak jedwabie, z oczyma jak gwiazdy, z piersiami jak dwa rajskie owoce, z ustami

jak żywa rana w purpurze krwi, smukłą i wiotką, a jednak wspaniałą, a jednak potężną.

Smoknął oszobotniony Padyszach, smętnie głową pokiwał rzezaniec, i rzekli jej:

— Na tem będziesz spała tej nocy!

— Ta czemu nie? — zaśmiała się ona.

Smoknął po raz drugi Padyszach i zapytał:

— Czy to ona mówi, czy to zaśpiewał słowik?

Machnął ręką dozorca haremówna znak, że mu to wszystko jedno.

Ona legła na wiotkim muślinie, jak na posłaniu z puchu, i rzekła przymilnie:

— Ta idźcie już stąd pogany, bo mi się spać chce.

Im się oczy rozszerzyły z nadmiernego podziwu, że oto dziewica ta, piękniejsza ponad wszystkie hurysy, leży na cierniach i na kamieniach, ostrych jak noże, ina grochu, ina szkle tuczonym, inicytłko że ciałem, jędrnem jak rzepa i jak skała twardem, niczego nie czuje, lecz oto zasnęła ulewlnie, jako dziecinko.

— Allah! Bismillah! — zdumiał się Padyszach.

— One wszystkie takje... — zaśpiewał rzezaniec.

— Zobaczymy o wschodzie słońca — zwątpił władca.

— Nie nie zobaczymy — mruknął człowiek pokrzywdzony w dzieciństwie.

Padyszach nie zmrużył oczów tej nocy i pewnie dlatego tak jasno było w całej stolicy, jakgdyby słońce wcale nie zachodziło. Za ledwie zaś świt na



perłowej przyplłynął chmurze, a palmy stały się srebrne i diamentowe, jak trzęsienie na turbanie Proroka, pobiegli czem prędzej z wielkim orszakiem, aby ujrzeć lwowską dziewicę, krwią spływającą od licznych ran, albo zgoła martwą.

Zbudził ją tupot wielu biegnących, więc się powoli podniosła ze straszliwego swego posłania, jak młoda lwica, co się rozkosznie przeciąga. Sto gęch dostojnych w niezmiernym otwarło się podziwie na jej skórze, podobnej do różowegoobloku, w którym kocha się słońce, nie było ani rany, ani ślęca, ani żadnego znaku. Ciało jej, rubinem krwi prześwietlone, drżało, młode i gibkie.

Nikt nie mógł wydać z siebie głosu, jakgdyby patrzyli na rzecz nadprzyrodzoną, jeden tylko na i zorca rzezańców zaśpiewał spryskliwie:

— Nikt inny na całym świecie podobniećnie dekaze sztuki. Ciernie starte są na proch, a groch na miazgę. To jest prawdziwa lwowianka!

Okrzyk wielkiego szczęścia raczył z siebie wydać dostojny Padyszach, a inni też niezmiernyuczynili rejwach.

— Połączona jest i piękna. Och! och! Oblok i skała zarazem! — wołał Padyszach. — O, synu mój, oto będzie dla ciebie małżonka, jakiej niema drugiej na ziemi.

Syn padyszachowy, czarny na gębie jak szęjban, w oczach rozpalil dwa pożary, z wielkiej kontentacji zgrzytnął zębami i, pełen szczęścia, jak pełen oliwy jest wór z oleju skóry, zbliżył się ku niej ty-

grysim chodem i smagłą ręką sięgał jej piersi. Wtedy ona, rozmachnąwszy się, dała mu w pysk tak potężnie, że się wdzięcznie nogami nakrył.

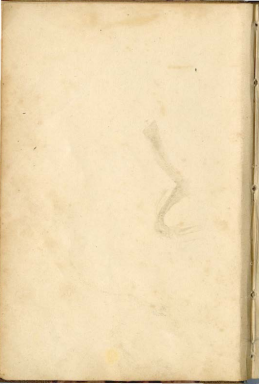
— Och! och! — zdumieli się wszyscy.

— Och! och! — zdumiał się Padyszach, obłąkany od nadmieru szczęścia.

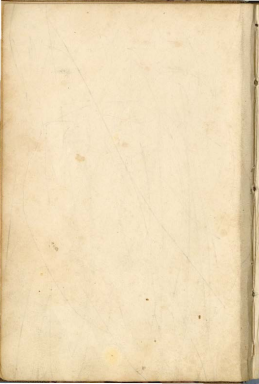
A na to eunuch:

— Potrafi spać na tęczonem szkle i bije. Czy teraz wierzysz, Najjaśniejszy Panie, że to lwowska dziewczyna?

Padyszach nic na to nie odrzekł, gdyż dusza jego była w rajskim zachwyceniu.



MÓJ PIERWSZY ZAJĘC



Nie mam w sobie złości. Ojcom Kościoła nie byłoby trudno udowodnić, że Pan Bóg, stwarzając aniołów, moją przyszłość wziął sobie za model. Przyznam się jednak, że z niejaką zawiścią czytuję wspomnienia myśliwskie moich przyjaciół, wspomnienia, pełne dymiących strzałów, krwi, nazwanej lekko i czerwono „posoką” i — lastnot least — śmierci. Zdaje mi się — człowiekowi spokojnemu — że taki jeden z drugim nie innego nie robi, tylko morduje, z kamienną, niewzruszoną twarzą. Potrzeba mu szynki na święta, idzie sobie do lasu i morduje od ręki pięć lub sześć dzików, zaprosił zarłocznych gości, znów idzie do lasu i zokatrupia tuzin jeleni, tak jakby inny zjadłbulkę z masłem. Oto mi są ludzie! Ossendowski, sercu mojemu bliski, wymordowawszy cały zwierzostan Azji i Europy, pojechał do Afryki rozpalonej i tam natłukłconiemiarą dostojnych słoni, żyraf smukłszych iprychających hipopotamów. Poparzez każdą gatunku laskawiezostawił, aby z kretesem nie zaginęły. Zjadasz potem u niego ucztę, a on cię uprzejmie zagadnie:

— Może pan pozwoli nareczkę z krokodyla? Spal sobie biedactwo, nadjeziorem Czad.

— Szynka z fakoszera też nie jest najgorsza, ale radzę nóżki żyrafy, pieczone na palmowym liście.

To rozumiem. Albo inny mój przyjaciel, ślicznie piszący. Uśmiecha się, a zbeyzgany jest krwią, postrach puszczy i kniei. Kiedy się tenzjawi w podkarpackich lasach, niedźwiedzie, ujrząwszy swoją śmierć, nie usiłują nawet bronić się, lecz pokornie, rzędem się ustawiawszy, przywykają oczęta i cteka ją na pionna ze straszliwej jego rusznicy. POCO uciekać i dokąd? POCO męczyć się przed śmiercią? To też myśliwy ten potężnysypiana niedźwiedzich skórach, spodnie ma ze skóry losia, kamizelkę ze skóry jeleniej, a czapkę z rysia. Przy stole posługują mu dwa biedne niedźwiadki, z jego łaski sie roty, dzieci jego igrają klami dzików, a służąca ściera kurzę lisią kitą. Stróżem w domu jest stary, kaprawy niedźwiedź, pijaczyna.

A taki Krzywoszewski — też nie daj Boże! Kiedy ulicą przechodzi i z nawyku nasłuchuje grania głuszcza, wtedy wszystkie zajęce w sklepach spożywczych, z zadnie uogi wieszące, drżą i, szklacelni patrząc w niego oczyma, zdają się mówić: „Oto jest ten, co nas milego pozabawił żywota!” Stare zajęczyte straszą młode zajęczki krwawem jego imieniem. Wilki na Polesju, zwiędziawszy się o uim, wyją nocami głucholub z nadmierne przerażenia dostają wścieklizny. W domu ma oswojonego

gluszcza, który mu siada na ramieniu i dzióbkiem cukier z ust mu wyjmując, jak kanarek, albo oswojona aktorka.

Takie to są straszliwe przewagi tych straszliw-
ców, godnych opowieści Coopera. Tak się zrosli
z puszczą i z dżokim zwierzem, że uśywiają nawet
mowy łabej, oją ludzie, niemający na rękach krwi.

Powinada taki:

— Nie mogę dziś przyjść do klubu, bo moja żo-
na bardzo „kniazi”. (!)

Albo też:

— Spójrz pan, jaki „talerz” ma ta pani. (!)

Jeden zajęc wie, o czem taki myśli.

Pisane posoką opowieści tych ludzi wprawiają
mnie w oszłomienie. Odczytuję namiętnie wszyst-
kie te wieckie historje, a z prawdziwym zachwytem
sprawozdania o urzędowych polowaniach w pu-
szczy Białowieskiej. Wyobrażam sobie, jak się to
ślicznie odbywa: oto wszystkie zajęce są wytrešo-
wané, każdy ma swój numer, jak u dentysty, a pan
leśniczy nie, tylko mruga. Wtedy taki zajęc z Dy-
gasińskiego, stary wyga, okiem łypnie w lewo, po-
tem w prawo i już wszystko wie; przerażenie uda-
jąc, wali wprost na ministra rolnictwa, swego naj-
wyższego przełożonego. Minister jeszcze nie strzelił,
a to bydlę już „ruluje” i udaje umarłego, bo mini-
ster nie może chybić. Czasem się zdarzy, że jaki
zapalczywy cudzoziemski dygnitarz trafi naprawdę,
i nie to, że krzywdzi mądre stworzenie, ale psuje
cały porządek polowania. Na takichto polowaniach

przywiązując się do gałęzi wypchanego głuszcza i ściągając się go sznurkiem po strzale, śpiew zaś głuszcza udaje w krzakach urzędnik niższej rangi. Wydało się to niedawno, kiedy zbyt lojalnie nastrojony „gluszczyk”, lecąc po strzale z gałęzi, zawołał ludzkim głosem:

— Padam do nóg panu ministrowi!

Piękne to są historie, które się czyta z ukontentowaniem. Stąd zawiść moja, że tylu pisarzy strzela grubą zwierzyńcą, a ja małe głupstwa. Nie jest jednak ze mną aż tak źle, albowiem i ja mam „zwierzynkę” na rozkładzie, czem postanowiłem się pochwalić, aby przecie pozostała jakaś pamiątka po wielkich łowach na te czasy, kiedy już wszystkie lasy zostaną wycięte. Albowiem im dalej w las, tem więcej Anglików. Czasem mniemasz, że się na brodatego w puszczy natknąłeś tura, a to tylko miły Gedale Tartak, wielki handlarz drzewa, już prawie Anglik.

„Drzewa moje ojczyste... ileż w waszej ciszy upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie, zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie...” Tak... tak..

Na srom bobrowy! Na niedźwiedzie sadło! (To z „Krzyżaków”). Muszę opowiedzieć, jak zabiłem mego „pierwszego zająca”. Wprawdzie ten pierwszy był też i ostatnim, ale w pamiętnikach zawsze tak się pisze: „Mój pierwszy tygrys”.

Fakt ten, który mną wstrząsnął na długie lata, zdarzył się na Podolu, czasu wojny. Tam to rozla-

lem krew dzikiego zwierza w walce honorowej, choć niewiele nierównej, bo zajęte wcale na mnie nie dybał. Mówię, bom smutny... Nieopatrzni przyjaciele zaprosili mnie na prawdziwe polowanie do prawdziwego lasu, na wzmiankę bowiem o strzelaniu takierobilem mały, jakgdyby od kołyski nie rozstawał się ze strzelbą. To trzeba przyznać, że istotnie mam wyborną minę łowcy stoni lub tępi ciela bizonów: mars na twarzy, bardzo bystrej i jakby drapieżnej, sokołoko, zacięte w milczeniu usta i rozdęte chrapy, jakgdyby wietrzące krew. Ponieważ w teatrze przez długie lata przywykłem do strzałów, przeto huk — prócz wielkiego wstrząsu — zbytniego nie czynił na mnie wrażenia. Z lekkim niepokojem wziąłem do rąk fuzję, dokładnie doinformowany z myśliwskich malunków Mackiewicza, którą stroną się strzela, i — jadę na polowanie.

Jechać to każdy potrafi, tylko polować niekiedy, slyszalem zaś kiedyś, jednoem uchem, że na polowaniach obowiązują jakieś dziwne obyczaje, przepisy i srogie nakazy, że jednak przy niejakiem sprycie wszystkiego na świecie dowiedzieć się można, postanowiłem chytrze wyludzić przez drogę od mojego towarzysza, wybornego strzelca, kilka fachowych tajemnic. Zacząłem przeto rozmowę okrężną, niby tak sobie, z nudów.

— Śliczny czas — powiadam — w taką pogodę zajęte lubią wychodzić gromadą. Pamiętam, kiedy w takim właśnie czasie byłem w Indjach...

— To pan był w Indjach?

— Strzelano się trochę po świcie... W Polsce jednak polowania są chyba szajpiękniejsze. Dziś siejsze wprowadzie to śrobiezarg...

— Tęgo nie powiedziałbym. Są tu lisy, a może być i wilk...

— Wilk? Pan laskawie żartuje?

— Bynajmniej. Ale co to? Czy panu zimno? Czemu pan tak drży?

— Zimno? Mnie? Ha, ha! Mnie się zrobiło gorąco na myśl, że tu można zakatrupić wilka. Prawdę jednak powiedziałem, miałbym dziś ochotę na parę zajęczków. Łatwy to wprowadzie strzał, i zwierzyzna też p sa warta, ale wesoło się przynajmniej strzela. Jaką pan ma metodę w strzelaniu do zajęcy?

— Jakto... metodę? Co pan przez to rozumie?

— No, jakby to powiedzieć? Czy pan woli strzelać do zajęca w biegu, czy też do siedzącego?

Towarzysz spojrztał na mnie przeciągłym i jakby eokolwtek zdumionem spojrzeniem.

— A pan? — pyta

— Ja? To zależy. Wedlenajnow szylch teoryj racjonalnego polowania, powinno się raczej strzelać do zajęca spokojnie siedzącego, bo to i cał pewniejszy, i nie denerwuje się niepotrzebnie błędnej zwierzyny. Zajęc zgoniony jest gorszy w smaku, cz sę go wjatem, nie mówiącejuiś o tem, że myśliwy, goniąc za tak szybkim jak zajęc zwierzęciem, traci wiele czasu.

Towarzysz spojrztał na mnie zpodoba, i widzę

wyraża, że jest zdumiony trafnością moich, intuicyjnych zresztą, spostrzeżeń. Walę przeto dalej:

— Ja, proszę pana, trzymam się, niemiłoby niezmiennej, jednej metody: dopuszczam zająca na trzy, cztery kroki, bo wtedy strzał jest bezwarunkowo śmiertelny.

— Niesłychane! — zdumionym głosem wykrzyka ów dobry człowiek.

— O, tak. I wtedy strzał „na komorę” jest prawie że matematyczny.

Zaryzykowałem tę „komorę” na podstawie literatury, widocznie z mi nowo-olnym powodzeniem, bo mój towarzysz, chociaż w yborny myśliwy, lecz zapewne mało otrzaskany z literaturą fachową, musiał się dowiedzieć o rzeczy dla siebie nowej; przystanął i zaczął mi się p ilnie przypatrywać.

Pokraśniałem z zadowolenia i lgałem z kopyta

— Bardzo też lubię strzelać „z kolana”.

— Na Boga! Jak się to robi?

Widzę jasno, że człowieknie czytał nigdy powieści największego myśliwca wszystkich czasów, Karola Maysa, który najmniej ze sto razy wyborowego tego użył sposobu w amerykańskich parapasach. Krawczy ten figiel na tem polega, że myśliwy, lub człowiek, ścigany przez Komanczów, udając, że spokojnie patrzy w inną stronę, ledwie widocznym ruchem kładzie karabin na kolanie i nagle wali z niego w gąszcz krzaków, w których zauważył alboruch podejrzany, albo też leciutki w nich usłyszał szmer. Przeto wyjaśniam to mało czytannemu człowiekowi:

— Jest to sposób trudny wprawdzie, niemniej jednak mimo swej grozy dowcipny. Kładę się na trawie, udając wyrazem twarzy i sarkastycznym uśmiechem, że mnie polowanie nic nie obchodzi, że się tu znalazłem przypadkiem, jako spokojny przechodzień, lub coś podobnego. Im kto częściej bywał w teatrze, tem wyborniej to uda. •tóż niewinny ten podstęp ogromnie ludzi zwierzęta tak poczciwe, jak zajęce, które, widząc spokojnego przechodnia, co odpoczywa zmęczony, omijają niezających tej gry myśliwych, a całą gromadę walą na niego. Ha!

— A on, cóż on wtedy?

— On, czyli w tym wypadku ja, niby spoglądam w inną stronę, niewidocznie układam fuzję na kolanie i nito się biedna, a tak dowcipnie oszukana zwierzęta spostrzeże, kładę trupem pięć, sześć do dziesięciu sztuk. Później to i zajęce nawet pojmie, w czem rzecz. Jeden lis nie dasię na to nabrać.

— Jakże więc pan poluje na lisy?

— Zwykle z drzewa.

— Przepuszam, ale nie dosłyszałem... Jak?

— Z drzewa. To przeciebardzo proste: lis, patrząc nerwowo wdół i na boki, mało zazwyczaj zwraca uwagi na to, co się ponad nim odbywa, nie tedy łatwiejszego, jak strzelić mu w łeb z góry, oczywiście też na komorę, gdyż, jak panu zapewne wiadomo, zwierzę to, ranne tylko, może być niebezpieczne.

Musiałem zrobić dubleta, z jednej łofy utuliwszy

lisa, z drugiej palnąłem „w sam łeb wojewody” —
mojego towarzysza — bo mocno pobladnął. Chcia-
łem mu jeszcze wyjaśnić mój sposób polowania na
dziki zapomocą granatów ręcznych, co mi właściwie
wtej chwili, jak genialne olśnienie, przyszło do gło-
wy, nie zdążyłem jednak, on bowiem, wlepiwszy
wzrok w moją strzelbę i obchodząc mnie zdaleka,
począł nerwowo łęknąć się ze mną.

— Tu, zdaje się, jest pańskie stanowisko —
rzekł.

Wiedziałem, że ma być moim sąsiadem na linii,
więc mu powiedziałem, choć bez chępliwości:

— Miłomi, że pan, stojąc obok, będziemógł zo-
baczyć, że są jeszcze w Polsce ludzie, co umieją
strzelać.

— Tak, tak... — odrzekł mi dziwnym głosem
i poszedł; co jednak krok uczynił, to się obejrzał
i zdumionemi w moją stronę tupał oczyma. Nagle,
ni stąd ni zowąd coś gopoderwało, bo zaczął gonić
przed siebie, jakby przed śmiercią uciekał, i gdzieś
woddali zniknął mi z oczu.

— Dałem mu łupnia! — rzekłem sobie za Za-
głobą.

Kiedy zostałem sam, z nieporównanemi łowięc-
kimi metodami, uczyniło mi się nieswojo. Pragną-
łem zastosować niezawodny sposób upolowania lisa,
wspiąć się na drzewo i tam, na wysokości, od-
śliwie przeczekać polowanie, aż do śniadania
wzięcie. Nie wypadło jednak uczynić tego, bo
wi, przed którym tygrysy w Indjach



twarz, skomłając o zmiłowanie. „Niech się dzieje wola nieba”, co też z piorunów strzela.

Po lesie zaczęło grzmieć i hukać. Nie przypuszczałem, że dostojny sędziwy las może nagłemu ulec obłądowi... Jacyś dobrzy ludzie z niewiadomej uciechy darli się wniebogłosy, lub porykiwali groźnie, tłukąc kijami o pnie niewinnych drzew, zdumionych nagłym szaleństwem leniwych zarwyczaj kniotków. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem do moich obowiązków myśliwca nie należy robienie opętanego wrzasku. Doświadczenie jest dobrą rzeczą, sama strzelbanie wystarczy. Musiały to doświadczenie mieć też i zajęce, przekonawszy się bowiem od jednegospojrzenia, że mają do czynienia z człowiekiem wybitnie łagodnym, zrobiły sobie przez moje stanowisko bezpieczny gościniec i przebiegały tuż obok mnie, mrugając porozumiewawczo wylupiastemi oczyma. Nie mogłem się dość nadziwić miłemu sprytowitych łagodnychzwierząt i z wielkiem na ten pochód patrzyłem zaciekawieniem. Wszystko jednak, i licha, ma swoje granice, mogłem być wyrozumiały, nie mogłem jednak ścierpieć lekceważenia. Człowiek nie może pozwolić na to, by mu urągał zajęce. Strzeliłem w górę dla postrachu i dla ostrzeżenia, zdaje mi się jednak, że najbardziej nastraszyłem siebie, gdyż serce we mnie zajęce zaczęło skakać modą... Moje zajęce przyspieszyły kroku, ale nie tak bardzo. Tymczasem hallakujący kniotkowie, weseli i rozkrzyczani wielce, zbliżyli się ku mnie, co było dowodem

niewątpliwej z ich strony odważył się, zważywszy, że ja, wyraźnie ja, dzierżyłem w ręku strzelbę. Niewątpliwiebezpieczniej jest spotkać w dżungli tygrysa, niżmuć w polskim lesie ze strzelbą.

Zdawałomi się, że już wszystkie zajęce zdołały się przemyścić szczęśliwie przez mój przesmyk, ode telnąłem przeto, nie splamiwszy się krwią Bożego stworzenia. Las jest jednak pełny niespodzianek. Oto jakiś wielki, nawet ogromny zajac, stary zapewne, może nawet paralityk, gwał w moją stronę. Za nim biegł piekielny wrzask i gromkie życzenia nagłej śmierci ze strony rozbawionych figlarów kmiotków. Kłapouch był oglupiały, albo też, choć praktyk, źle mnie osądził, że nie usiłował przejść bezpiecznie pomiędzy mojami nogami. Krzyknąłem przyjaźnie, a ten bałwan skręcił w obłąkanym skoku i biedaczysko tak wyrzwał łbem o drzewo, że go zamroczyło. Wykopyrtnął się, jakby w niego piorun uderzył. Było mi go żal serdecznie, takijednak zbrodzień siedzi w człowieku, że oszalałem. Zagrała we mniekrw stu myśliwskich pokoleń, co się z lutym zmagaly turem, uderzyła mi do młodej głowy — ha! — jak wino — tak, że się poczułem zamroczony, jako ten właśnie zajac. Tygrysem skokiem przypadłem do zwierza i — o hańba, o, dzikości, w każdym z nas utajona! — strzeliłem. Zajac niedał nawet poznać po sobie, że to zauważył, zlekceważył mnie nawet po śmierci. A jednak Demokryt, który znał mowę wszelakiego zwierza, byłby usłyszał cichy szept: „Bądź przeklęty”.

— — —
Ile razy społywam zająca, słyszę ten głos. Jestem mordercą, który zachował resztki sumienia.

Nie będę zgoła niepotrzebnie dodawał, że zdumienie ludzkie na widok tego zająca było tak wielkie, jak las. Szepotali myśliwcy pomyślą sobie, spoglądając to na nieboszczyka, to znów na mnie.

Mój towarzysz któremu zdradziłem tak wyborne metody łowiectwa, ucałował mnie, po tem pytał:

— Jak go pan zabił?

— Z odległości jakichś trzystu kroków, celując tylko kilkanaście minut, chociaż podskakiwał, szedł ma, aby mi strzał utrudnić.

Tamten podniósł tylko oczy ku niebiosom, i mowę mu odebrało. Ja jednak znalazłem prawo myśliwca do łgarstwa. Od tego jednak czasu, nie chcąc sławy mojej molojeckiej na szwank narażać, nie poluję już nigdy, trudno bowiem przypuścić, aby się znalazł na świecie drugi taki zając, galant wielek, któryby dla mojej satysfakcji popełnił samobójstwo.

Hej, już niema takich zającey!

NACZYNIĘ ZŁOŚCI



Sądząc z tytułu, powinna to być historia wschodnia, wazon jednak z tej bardzo zwyczajnej opowieści zetknął się ze Wschodem w ten sposób jedynie, że był kupiony (z wszelką nawet pewnością) u starego Izraelity w okolicach ulicy Świętokrzyskiej, gdzie sprzedają fałszywe minjatury, bardzo fałszywe obrazy i jeszcze fałszywszą porcelanę. Oprócz sprzedawców, niewątpliwie wschodnich, wszystko na tej ulicy jest fałszyfikatem. W każdym bric à bracu jest tu do kupienia stare łoże, które należało do księcia Józefa, jakgdyby promienisty ten książę niczego innego w życiu nie robił, tylko spał na coraz to innym łożu.

Najwięcej jednak jest tu na sprzedaż kruche szkła i delikatnej porcelany, nadgryzionej przez nielitościwy czas, który ma dziwną manję i jak stary pijany szewc, czujący chorobliwą niechęć do uszu swoich terminatorów, strąca cały wazon i filiżankom. Są to zwykle ostatnie z porcelanowego rodu, sieroty bez pary i bez żadnej podstawy, względnie podstawki do życia; są to naczynia puste, a jednak pełne brunatnej melancholji, koloru

kiepskiej herbaty, lub zgołaczarnej, jak czarna kawa, rozpaczy. Popękane, jak ezule serca po miłosnych zawodach, niepotrzebne nikomu, jak skorupki rozbitych jaj, czekają na tego obłąkaśca, który je kupi.

— „Habent sua fata” filiżanki — jak rzekł jedna służebna dziejowa. Iłukąc ich pół tuzina.

Wśród tych porcelanowych rupieci stał nadęty, brzuchaty wazon z wąską długą szyją; wyglądał jak bankier wśród hołoty; jedno ucho miał utracone, co miało świadczyć o starożytności jego pochodzenia i o srogich kolejach losu, który mu zadał męczarnie. Znikomy jednak był to niedostatek wobec malowniczych i złoconych wspaniałości, strojących jego hrzuch, który był ni mniej, ni więcej, tył ko terenem bitwy, może pod Austerlitz, może pod Marengo. Cóż tedy znaczyło jedno oberwane ucho wobec Napoleona, tak przedziwnie wyobrażonego, że wyglądał jak gruby paralytyk na białym koniu, dlatego jedynie niepodobnym do krowy, że nie miał zbyt rozwiniętych wymion i rogów, poza tem bowiem mógł uchodzić za każdego czworonoga. Wielki był kun szt artysty, który to stworzył. Cesarz był zresztą jedynie nieodzownym dodatkiem do całej panoramy wspaniałości, które kręgiem bitewnym otoczyły wazon; armaty, trupy, sztandarty, grenadjery, krew i dymy zaległy pole w potępieńczym spłocie, tak jednak misternym, że czasem z grenadjera końska wyrastała noga, albo też rumak w nierozumnem szaleństwie pysznił się głową

grenadjera w połącznej bernyty. A Cesarz na to nie! Rękę wyciągnął, jakby zapytany komuś za nim stojącemu grzeźnie wskazywał drogę, patrząc równocześnie w przestrzeń zezowatem spojrzeniem, jedno okomając zielone, a drugie złote, jakgdyby cesarza Francuzów nie stać było naoba złote. Piękny ten obrazek tyle miał w sobie wdzięku i z taką oddanybył precyzją, że dziwić się należało, w jaki sposób sędziwy Izraelita, który codziennie go oglądał, nie postradał zmysłów? Tęga musiała to być głowa i w wielkiem zaprawna myśleniu, rozum połączny, którego ani nic zdumieć, ani z równowagi wyprowadzić nie mogło.

Skąd pochodziło to cudo, nikt tego nie wiedział, z tego przedewszystkiem powodu, że nikomu na myśl nie przyszło, aby się zainteresować pochodzeniem tej porcelanowej wywłoki, pomalowanej przez osobistego wroga Napoleona, jakiegoś „brata z Ajaetio”. Tysiące ludzi przechodziło codziennie obok zezowatego władcy świata, i nikt nawet na niego nie spojrzal. Można by z tego wysnuć wniosek, stary w kolorze, jak śmiertelnypopiół, symbol znikomości wszechrzeczy, że obojętność ludzka większa jest, niż wielkość sama. Szelma człowiek będzie zachłannie pożerał wzrokiem byle naczynie, jeśli jest czemś smakowitem napelnione, a nie podaruje ani spojrzenia Wielkiemu Cesarzowi, wyobrażonemu na wazonie, napelnionym pustką, brudem i zakurzoną.

Był jednak ktoś, dla którego śmieszne to naczy-

nie stało się początkiem udręki. Przyjaciel mój Herakljusz (!) miał czyste serce, wzniosły umysł i mieszkał w okolicach ulicy Świętokrzyskiej. Wspaniałe te zalety ducha nie stoją wprawdzie w żadnym związku z miejscem zamieszkania, tak się ~~jednak~~ zdarzyło, i nie należy na ten temat żadnych głębokich snuć rozważań. Ten tedy Herakljusz, przechodząc raz jednego obok składu starożytności, spojrzal w jego dno. Chciał iść dalej, ale nie mógł; coś go ułapiło za potęg duszy i trzymało. Gdyby porównanie nie było śmiesznie anachroniczne, można by rzec, że czuł się, jak dama, której nastąpiono na długi ogon sukni. Dama czuje się wtedy źle, i on się czuł nielepiej. Poczulna sobie urągłiwy, złośliwy, zezowaty wzrok Cesarza. Ponieważ Herakljusz wiedział coś nie coś o Napoleonie, mało zaś jest prawdopodobne, aby Napoleon wiedział cośkolwiek o moim przyjacielu Herakljuszu, należy przeto jedynie przedziwnej sztuce malarskiej przypisać tę niemilość spojrzenia Wielkiego Cesarza. Szczególnie to zielone, malachitowe jego oko pałało wyrazem urągłiwym, drugie zaś, to złote, lypało z obrazującą obojętnością. Mój przyjaciel spojrzal pilnie i zadrzał. Włoch, spotkawszy się z takim spojrzeniem swego ziomka i do tego Korsykanina (djably wyspiarskie są złośliwsze), byłby się przed fatalnemi jego skutkami obronił znakomicie sposobem italskim starym i wybornie przez ciewko wszelkim urokom wypróbowanym: ułożyć niem palców tak, aby mały i wskazują-

cy sterczały z ręki, jak zęby widel. Ponieważ Heraklijusz albo nie znalazł tej sztuki przeciw urokowi, albo też w podnieceniu zapomniał jej użyć, patrzył z niechętnym zdumieniem, jak tłu urąga ten głu pi wazon z oberwanem uchem. Obejrzał go dokładnie i nagle, niewiadomo dlaczego, poczuł do niego niemal że nienawiść. Można ją sobie wytłumaczyć jedynie koszmarną urodą porcelanowego grata; zapiekłe w ogniu malowanie na jego wzdętym brzuchu wabiło oczy tak namiętnie, że w człowieku uczciwym rodziła się dzika chęć rozbicia szyby. Chwycenia tego paskudztwa za jedyne ocalale ucho i ciśnięcia go o bruk, aby go w tysiąc siedem roztrzaskać czerepów. Mój przyjaciel przypomniał sobie w samą porę, że dość trudno byłoby wyjaśnić policji tak rozumne i szlachetne motywy rozbijania sklepów, nakazał tedy ciszę wzburzonemu sercu. I choć zielone oko Cesarza wyzywało go najwyraźniej, jakby krzychało do niego: „Spróbuj, jeśli masz odwagę!” — odwrócił się z niejakim trudem.

— „Tchórza!” — krzyknął za nim Cesarz.

Rzeczy martwe są czasem tak złośliwe, jak pa-wjany. Są takie krzesła, które szarpną ubrania cierniem drzazgi; pióra, które plamią zawsze biel papieru wielkimi kleksami, i spinki, które chowają się z idjotyczną złośliwością w najciemniejsze zakamarki; buty, które gajotą z beznamyślną cierpliwością; stoły, wiecznie pijane i chwiejące się; obrazy, które zawsze na złość będą wisiały krzy-

wo; istnieją złośliwe piete; lajdackie drzwi, skrzy-
piące, jak jędrze, smażone na ruszcie; głupie szafy,
robiące sobie z tego zabawę, że ktoś się boi ich
trzaskania; nawet marna, zardzewiała szpalka,
krew z człowieka potrafi wytoczyć, malpa jedna
Rzadziej się zdarza, aby wazon miał w swoim brzu-
chu tyle zapiekłej złości, ile go miał ów „napoleoń-
ski”, ohydnie pomalowany oberwaniec. Jadowita
zielń z tego malowania zatrula duszę onego do-
brego Herakljusza. Była to metoda dawnych, wy-
bornie w swem rzemiośle zaprawnych truckleli, co
arzenikiem polli tapety, czy też makaty, i w ten
wiotki, a niepozbowiony delikatności sposób wy-
prawiali do lepszego świata ukochanych krewnych.
Wazon pochodził wprawdzie z nowszych czasów,
zbrodnictwo jego jednak była tamtym równa, st-
dziwa i podstępna.

Mój przyjaciel miał duszę zatrutą. Przez dzień
cały i przez połowę nocy, zanim wreszcie zniżył
oczęta, widział przed sobą brzuchaty wazon, nama-
lowaną bitwę, apokaliptyczne walechy i dwoje
oczru Napoleona: jadowite, zielone, i stęzale w po-
gardzie — złote. Kiedy usnął, śniło mu się, że ohyd-
ny wazon, do ludzkich wyolbrzymiawszy rozmia-
rów, z trudem przeciska przez drzwi potworną na-
dętość brzucha; że włacza się do jego sypialni, po-
chyła się nad nim, a Cesarz, klnąc okropnie, odry-
wa od jego głowy ucho i przycrepia je do wazonu.
Mój przyjaciel zawił przez sen i usiłował tknąć

w nogę cesarskiego rumaka, który zarżał donośnie obłąkanym głosem.

W ten śmieszny sposób rozpoczęła się historia głuchej nienawiści pomiędzy dobrym Herakluszem i potwornym wazonem. Wazon miał tę nad człowiekiem przewagę, że był bernadziejnie głupi, a człowiek myślał i sączył w się białą jądę. Wazon stał ulepaczem, a rozdrażniony człowiek nie umiając się cofnąć na szaniec pogardy i za wzgórze wzniosłości, szukał z bękartem nieszczęśliwej ciągłej awantury. Mój przyjaciel, sam sobie nie zdając sprawy z tego, co czyni, szedł nieodmiennie każdego ranka przed żydowski sklepik, stawał przed szybą i usiłował przeklęty wazon rozbić wściekłością spojrzenia. Zohydzał go we wzburzonej duszy, naigrawał się z jego ciężarnego Napoleona brzucha, kpiał z niego, dobierając słów długich, kleistych, zawieszonych, najczarniejszego koloru. Chciał się zemścić za jego obrażającą szpetość i za to zielone, złote, lekceważące spojrzenie. Febra nim trzęsła, bo mu się zdawało najwyraźniej, że Napoleon wskazuje wyciągniętą ręką nie w stronę, lecz jego, stojącego za szybą, i że coś mówi o nim swojej gwardji, a te niedźwiedzie ryczą przeraźliwym śmiechem, stroją do niego obłąkane miny i mierzą do niego z karabinów. Kiedy ta ~~prośba~~ ~~wzburzona~~ zaczęła być już do zniesienia, Heraklusz groził cesarzowi kulakami, gwardji rzucił obelżywe słowo (po francusku!) i szybko uciekał, gnany burzą śmiechów, świsgami wyzwiskami, pokłó-

rych na dobrą sprawę całą trzebaby wykadzić ulicę. A nazajutrz znówu powracał z lekką obawą, że wprost z ulicy Świętokrzyskiej udasię do szpitala warjatów z krótkim, żołnierskim raportem, że cesarz Napoleon Bonaparte zielonem swoim okiem ściga go nieprzytomnie.

— Ty morderco! — syknął tego dnia z nienawiścią w jego stronę.

— Tu matto! — krzyknął zduszonym głosem Cesarz.

Gwardja zatrzęsa się wielkim, brzuchatym, zataczającym się śmiechem. Herakljusz, ku niezmiernemu zdumieniu rozsądnych przechodniów, pokazał język niewinnej szybko i uciekł, jak zajęc.

W nocy miał z sobą dłuższą rozmowę; wielką ilością wcale rozumnych argumentów starał się siebie przekonać, że zdrowy jego rozsądek znajduje się u progu bankructwa i że, jeśli tak dalej pójdzie, z pięciu klepek, obowiązujących przyzwóci tego człowieka, zostanie mu do rozporządzenia tylko cztery, a przez szczelinę po tej piątej wycieknie z niego reszta rozumu. Co, do stu tysięcy starych djabłów, obchodzi go idjotyczny wazon? Co mu się, do miljona starych garnków, przywidziało! Sto sobie w oknie rupieć bez ucha i bez sensu. — nicch że stoi! Nie można rzec, aby Napoleon patrzył na niego miłym wzrokiem, ale tym samym wzrokiem patrzył też na każdego bęcwała, który stanął przed szybą sklepu. Nienawiść do tego wazonu jest głupim wynrysem. A jednak nie: czemże to bowiem

wytłumaczyć, że przedtem uwielbiał Napoleona, a teraz chce być na widok jego wizerunku? Nie nawidzi go, ale tylko tego, co ma jedno oko zielone, a drugie złote. Nie chce go widzieć. Gardzi nim. Przeklinago. Co próbuje w sercu uawidok innego, tego jeszcze nie wie, ale w tej chwili przysięga, że nigdy nie przejdzie ulicą Świętokrzyską, chyba że go tamtędy będą wieśli na triumfalnym wozie, który popospolicie zowią karawanem. Zawziął się w tem przedsięwzięciu, skostniał, stęzał, a serce tak w sobie skamieniało, że, kiedy swoim zryczajem Bonaparte zjawił mu się tej nocy we śnie i, najwyraźniej mu urągając, wylupił sobie zielone oko, wrzucił do szklanki z wodą i kazał mu to wypić, odrzekł mu ze śmiertelną powagą:

— Sire, mam dość tej zabawy, niegodnej Wielkiego Cesarza!

Cesarz zdumiał się, schował oko do kieszeni białej kamizelki, dosiadł szafy i, zamysłony, pędem odjechał.

Razajutrz Herakljusz odlechnął. Coś go ciągnęło, coś go gnało na ulicę starożytności. Serce w nim dygotało i rwało się, jak ogar na polowanie; duszę nosił chwycić za włosy i w ten barbarzyńcygodny sposób zatrzymać w domu. Był chory, był napolity obłąkany, ale wytrwał. Pod wieczór usiłował uśmiecchnąć się. Ćwiczył się w tej zapomnianej sztuce czas niejaki, wykręcał głowę, jak paralityk, silił jak człowiek, co się dławii, wrzazcie jednak wytrysnęła z niego fontanna śmiechu, jak gejzer,

kiedy zagnała oszaleje. Ryk wielki zatrzęsł cichym domem; donośne śnienie napelniało przerażoną ciszę; zdumiała się noc i zdumieili się ludzie: noc stuknęła się wiotką ręką w czoło, na znak, że wszystko rozumie, a ludzie, którzy nigdy niczego nie rozumieją, poczęli stukać, jak kto miał weszyczaju, ten butem w podłogę, ów kijem w powalę, a inny byle czem w dudniącą śmiechem ścianę. Nie uczyniło to jednak najmniejszego wrażenia na radosnym człowieku, który pogłębił zmore i niezwykłego zwoycił Cesarza.

Odrodzony, witał słońce poranne, jedyną we wszechświecie istotę niezłośliwą. Straszliwy wazon zamienił się w mgłę, i zaledwie jego pękate widać było zarysy. Zaczem szczenił w otchłani, która wszystko pożera, a w starych rupieciech nade-wszystkosię lubuje.

Dzwonek, który u drzwi dźwięcznie zaterkotał, rozrado-walleraklusza: oto z pogodnym umysłem przywita przyjaciela, czy też gościa, i opowie mu o śmiesznych swoim, wczoraj dopłero młotonym obłędzie. Nie był to jednak ani przyjaciel, ani gość, tylko brat Merkurego, w półocznej mowiewzany posłancom, który przyniósł list i przedmiot jakiś, starannie owinięty w starą gazetę, hebrajskiemi drukowaną literami, wskutek czego nie możemy nic powiedzieć o jej kierunku politycznym i jej zasadach społecznych.

Gdybyśmy napisali dokładnie o tem wszystkim, co teraz nastąpiło, byłaby to błada i niezdar

na kopja opisu trzęsienia ziemi. Każde słowo mia-
łoby zapach krwi i obłąkane oczy furji. Zadrzałby
czytelnik, a papier spłynąłby łzami, dlatego należy
powiedzieć krótko, że Herakljusz otrzymał list, któ-
rego treść, wyluskana jak ziarno ze skorupy orze-
cha, oznajmiałamiłą niespodziankę: „...ponieważ
widziałem parokrotnie, jak długo podziwiasz wa-
zon z Napoleonem, chociaż pojąć nie mogę, co
w nim ujrzałeś nadzwyczajnego, jest to bowiem
stary grak bez wartości (wazon, nie Napoleon!) —
posyłam ci owo naczynie z miłą nadzieją, że ci
sprawię przyjemność...”

Mój przyjaciel, nieszczęsny Herakljusz, siedział,
pod hien szerezanemu z drzewa bałwanowi, co
oczyrna bez wyrazu wpatruje się w czarną wje-
ność. Przed nim stał wazon, słomny i zwycięski.
Cesarz utkwiał zielone oko w biednym człowieku,
a ręką wyciągniętą w skarywałgo wiernej gwardji,
jakgdyby chciał powiedzieć:

— Oto jest ten człowiek, którego rozniesiemy
na hagnetach!

Gwardja patrzyła ponuro, a konie szczyrzyły
zęby.

Herakljusz poczuł trwogę. Nieczysta to była
sprawa. Ohydne naczynie musiało mieć duszę zło-
śliwą, jadowitą duszę, wstrętne otyłą, jak jego
brzech; mieszkał w niej jakiś djabeł, zapomniany
w Warszawie przez władzę tej piekielnej halsztry,
Ernesta Teodora Amadeusza Hoffmanna. Z wazo-
nem tym musiało tu wejść jakieś nieszczęście. Coś

się stanie, jeśli to straszne naczynie będzie ster-
czało na stole, szpetne, jadowite, złością brzydkie.
Należy je zniszczyć, rozbić na okruchy, albo lepiej
jeszcze, zetrzeć w proch i rozsypać na cztery win-
try. Herakljusz spojrział złym wzrokiem, zadrgał
od wściekłości i wyciągnął drapieżne ręce. Nagle
zakotłowało mu się w głowie. Wazon zaczął rósć
i olbrzymić; konie rżały, grenadjery wydali lwi
ryk, a Napoleon wykrzykiwał coś chrapliwym gło-
sem. Nieszczęsny człowiek cofał się w przerażeniu,
potem, objął w szy głowę rękami, zaczął wołać gło-
sno, aby przekrzyczeć tamtych:

— Zwarjowałem!

Nikt nigdy treściwiej i dokładniej nie wyraził
prawdziwego stanu swego ducha. Zdaje się, że uję-
ty ten Cezarz nakazał ciszę i kazał wazonowi do-
właściwych powrócić rozmianów, co też znacznie
umniejszało doraźny obłęd niewinnego człowieka,
którego ścigał głupi, lecz zbrodniczy wazon. Pozwo-
liło mu to na zwołanie rozpięchłych myśli, jak
myśliwiec zwołuje ogary, gdzieś daleko po lesie
rozbiegane. Z okruchów i skorup świadomości (po-
równanie pochodzi z dziedziny ceramicznej ze
względu na ów wazon nieszczęsny) udało mu się
sklecić pomysł, aby się pozbyć Potwora, natych-
miast, bez najmniejszej zwłoki. Zmienił bebrajską
gazetę na polską wprowadzić, lecz bardzo filosemiń-
ką, i drżącymi rękami uctynił z niej pokrowiec dla
tej obydy, potem czem prędzej wyprawił ją
w świat, korzystając z imienia jednej aktorki, któ-

ra tyle jni w sobie miała fałszu, że w żaden sposób nie mogła odkryć fałszywego pochodzenia tego „muzealnego” przedmiotu.

Byłoby zbrodnią nużenie czytelnika epicką szerokością opowieści, która przybrała kształt owego tajemniczego węża, co na dziwnych wizerunkach wyobrażony jest w ten sposób, że wkrąg zwinięty, w zębach własny trzyma ogon, a nikt mu nie może wytłumaczyć, że pozycja ta nie ma wielkiego sensu. Historia ta w skrócie, nagłym, jak nieszczęście, wygląda tak:

Herakljusz posłał wazon aktorce, aktorka posłała to paskudztwo swojej koleżance, z lekką nadzieją, że ją krew zaleje, koleżanka ofiarowała go porucznikowi ciężkiej artylerji, porucznik ciężkiej artylerji dał go panience lekkich obyczajów, panienska posłała go znajomemu prezesowi towarzystwa zwalczania prostytucji, prezes dał go swojej żonie, żona dała mu za to wypysk i ofiarowała cudowny ten wazon na loteryję dobroczynną na rzecz drugiego oddziału trzeciej sekcji towarzystwa św. Bonawentury. Ponieważ mój przyjaciel Herakljusz kupił z towarzyskiej jakiejś rozpaczy dziesięć losów tej loteryji, dnia 20 grudnia b. r. o godzinie 10 wieczorem wygrał wazon z zewątką Napoleonem. Dnia 21 grudnia wazon został mu uroczyście przyniesiony do domu.

Mistyczny wąż zwinął się tak przedziwnie, że zębami ślą się z ogonem.

Człowiek, mający odrobinę poczucia honoru,

tyle razy wykpiłoby przez wazon bez ucha, strzeliłby sobie w łeb; człowiek, mający odrobinę poczucia humoru, uczciłby kwiatami powrót tego złośliwego draba. Herakljusz niczego nie uczynił, miał bowiem jedynie poczucie strachu, wazonnie chciał go opuścić. Wazon go prześladował. Łączyła ich współnaniemawieść, niepojęta złość, ponury gniew. Patrzyli na siebie przez całe godziny; człowiek spoglądał spojrzaniem mściwym, rzecz patrzyła wzrokiem tępy, uparty, zahójezo nieruchomym. Herakljusz już jej nie chciał rozbijać w proch, lecz dziesięć razy mierzył do niej z rewolweru, jak-gdyby stał przed nim wróg żywy, któremu można zadać ból przed śmiercią. Budził się wśród głuchej ucoy, nasłuchując, czy to tępe bydlę nie zbliża się ku niemu, aby go zabić; kiedy powracał do domu, patrzył niespokojnie, czy zagnęła oszalale nie zniszczyło mu mieszkania. Niemawidził go tak, jakby nie potrafił nieawidzieć człowieka. Ten wazon szal z niego zdrowie, oduczyl go radości, nauczył strachu, potargał mu nerwy, a pozbyć go się nie mógł. I toco? Przecie znowu powróci. Musi powrócić..

Tępy wzrokiem przeglądał gazetę, aż dojrzał w niej słowo „wazon”. Przetarł oczy i czytał:

„Poszukiwany wazon z odbitem ~~jednym~~ uchem
Z jednej strony Napoleon podczas bitwy, z drugiej — lira wśród kwiatów. Rzecz bez żadnej wartości, cenna dla poszukującego, jako wzruszająca pamiątka rodzinna. Prosi się o wiadomość...” i t. d.

Herakljusz podniósł się powoli i zbliżył do wazonu. Znał każdą na nim kreskę, każdy ślad, wdzięcznie zostawiony przez muchy, co uchodziło mogło wśród roju granatów za niewystrzelony pocisk. Obejrzał go jednak ze śmiertelną powagą. Nie mogło być pomyłki; na całym świecie nie mogły istnieć aż dwa takie monstra, gdyż świntoszałaby, albo w leń strzeliłby sobie z najbliższego słońca. Wielkie westchnienie dobyło się z piersi mego przyjaciela, jak dudnienie z głębokiej wyschłej studni. Cudowna radość objęła go uściskiem, jak kochanka. Spojrzał Napoleonowi w oczy i rzeki dobitnie:

— Waterloo!

— *Povero pazzo!* — mruknął Napoleon, a ponieważ Herakljusz nie rozumiał po włosku, dodał:

— *Male bete!*

Po wzruszającą pamiętkę rodzinną zgłosił się człowiek, pełen sentymentów, bardzo jednak ukrytych w twarzy, zarosniętej jak dżungla. Oczy miał sprytnie, ruchy niespokojne, szaty w trzecim stadium rozkładu. Przed nim, jak obłok, płynęła woni spirytusu, co oznacza nieomylnie, że człowiek miał ciężkie zmartwienie. Równie doskonałym powodem tej dziwnej woni mogła być i radość z odzyskania skarbu ojców i dziadów. Oto przyczyuy odmienne, a skutek ten sam. Jeden filozof twierdził, że świat powstał z wody, a inny, że z ognia.

Herakljusz przywitał go, jak brata. Przybył płakał z wielkiego rozczulenia i opowiedział histo-

rję smętną, jak to niedawno z trudem wyrwał się z Rosji, gdzie był cesarskim szambelanem. Wazon, ukochany jego wazon, przywędrował przed nim, powierzony szczęśliwemu przyjacielowi, co już umarł. Teraz odnajduje pamiątkę i dlatego płacze. Obejrzał ją pilnie i uśmiechnął się. He Herakljusz żąda za tę mizerotę? Nie? To niemożliwe! Choćby pięć złotych, choćby dwa.

— Jaby panu coś jeszcze dopłacił — rzekł Herakljusz.

— Nigdy! nigdy! — płakał zagnany człowiek. — Skoro pan nie chce pieniędzy, to niech mnie panda „rozpłaskę”, że wazon do moje należy i że pan pretensji zadawać nie ma.

Herakljusz porwał pióro i pisał. Każde słowo migotało jak brylant, każde śmiało się nagłos. Przybysz przeczytał, otarł oczy i objął wazon miłośnie.

— Pan pozwoli?

— Na co mam pozwolić?

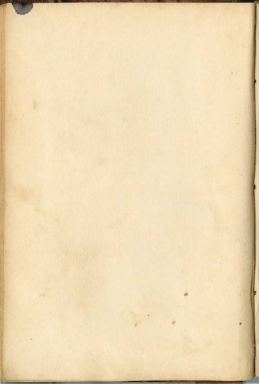
— Aby tu rozbił to draństwo..

Herakljusz spojrzał ze zdumieniem na człowieka, który pamiątkę rodzinną chciał rozbić, jak własne serce. Tamten jednak uśmiechnął się wesoło i grzmotnął wazonem o brzeg stołu. Poczem zaczął pilnie grzebać wśród skorup i z tych, które były dnem przeklętego wazonu, wydobył coś bardzo migotliwego.

— Co to? — szepnął mój przyjaciel Herakljusz.

— Brylant! — zaśmiał się gość. — Gipsem był zalany i ocalał. Przez długie lata ja jego szukał i „taki” znalazł! Biednemu człowiekowi przyda się...

Herakljusz spojrział błędnym wzrokiem, i zdało mu się, że miły pijaczyna ma jedno oko zielone, a drugie — złote. Więc zbliżył się do ściany i zaczął o nią tuc głową, długo, długo, długo.



CIENT GRUBEGO SARADELLI



Lat temu będzie kilka, jakieś „dieci anni fa”, w prawil mnie mój przyjaciel, tak zwany ziemia nin, czyli, jak mówią kelnerzy, pan dziedzic, wbar-dzo kwaśny humor. Młubę ludzi bajnych, miałem przeto słabość dotego przyjemnego bęc wała, który grzmiał śmiechem, jak radosny rumiak, w oczach miał niebo radości, a gębę tak jaskrawo rumioną, jak słońce o wschodzie, albo jak panna po zacho-dzie nieskonczone go pocałunku. Wprawdzie przy-jaciel mój tak był podobny do panny, jaksleń do orchidei, ale porównanie jest przyjemne, więc go można ująć, chociażby z uszczerbkiem zdrowego sensu.

Zwał się Baradella (pochodził z włoskiej, pie-monckiej rodziny tego nazwiska, jeden Baradella ożenił się z hr. Wyką z Litwy), był, szelma, wście-kle bogaty, był sobie lepiej niż król, co nie było nadzwyczajną sztuką ze względu na psie życie królów, ale i to coś znaczy, szczęściechodziło przed nim, pieniądze toczyły się za nim, a on był w środ-ku. Patrzyłem z odrobiną zawiści na tę fontannę pogody żywota, na byczy rozmach tego dryblasa

i na rozczulającą miłość z ziemią, karmiącą sw o-
jego gągalka z lewej piersi miodem, a mlekiem
niezbieranem z prawaej. Myślałem, szafranem za-
wiści myśl każdą farbując, że oto dla takiego Api-
na ziemia, dla imych sroga i nieużyta, stroi się
w kwiaty, a las obwiesza się szmaragdami, takie-
mu zaś, jak ja, wydzieli niechętnie kilka piaszczy-
stych łokci na grób i wydeleguje jedną mizerną,
nieco uschlą drzewinę do reprezentacji nad tym
literackim grobem. Ja nie miałem nie, a on miał
wszystko, nawet miłość głupawego losu. Ba! Taki
to ma nawet s***jeg* młn*stra, amn*le n***j*go zre-
dukowali, taki jeździ autem, kiedy ja nie mam za
co chodzić piechotą; taki może nawet mieć codzien-
nie świeże mleko, prosto od krowy, podczas kiedy
ja, od lat przeszło czterdziestu, nadaremnie tęsk-
nię za tym wybornym napojem, który dalby mi
słodycz myśli i niewinność pożądań. Taki to się
nawet cieszył ze swojej roboty i pychł się nady-
mał, jeśli tak ziemię umiejętnie zapłodnił, że mu
rozmiłowana babu stem złaren płaciła za jedno.

Najbardziej rozdrościłem mu jasnego na świat
spojrzenia; ja patrzyłem na zakopcone, liszajowa-
te mury, a ten matoł szczęśliwy patrzył w czyste
niebo, w złoto i w las bezgrzeszny. Cóż dziwnego,
że był silny i szczęśliwy, że miał zdrową wątrobę
i do wesółych zdolny był szaleństw?

Kiedy on się śmiał, ja miałem głębę dobrą na
wielki post.

— Ładny obrałeś sobie zawód, Boże miły —

powiadał mi. — Jak to się pisze te wiersze? Czy to trzeba tłuc głową o ścianę? Jeśli tak, to i ja to potrafię.

Przypomniał mi się ów idjota-szlachcic, który twierdził, że gdyby tylko miał czas, od ręki napił sałby „Pana Tadeusza”, bo i na grzybach się znu, i na polowaniu, więc mu odrzekłem słodko

— Pewnie, ścianę masz i gdyby tak jeszcze głowa...

— Ha! ha! — ryczał pan dziedzic, jakby był na polu — przyjeżdż do mnie i zobacz, jak się żyje, pismaku nieszczęsny. Niebo, las, zboże i woda! Jak ta ziemia, do której dojeżdżasz nie mogła wejść...

— Chyba...

— Coś takiego, albo podobnie. Przyjedziesz?

— Dziękuję, czytałem o tem w powieściach

Coś on długo jeszcze o tem gadał, łagodnie nót mi wbijając w serce. Dowiedziałem się, własnego rozumu używszy, jako wiatraka, co plewy oddziela od ziarna, że jest to najszczęśliwszy magot w wielkiej puszczy żywota.

Potem gdzieś mi się zapodział zacny i szczęśliwy Maradella, bardzo rumiany, bardzo grtmiący i taki silny, jak Samson przed fryzjerskim zabiegciem. Gdzieś tam zapadł w swajem zbożu, czy w lesie, i pewnie szczęśliwie mocował się z ziemią, bo go przez lat kilka nie widziałem. Zniknął też i jego dziewicz, wesoły pan Wyka, przepadł w puszczy miły pan Rzepak, wszyscy się gdzieś zapodzicili w obszernej stodole zapomnienia. Miałem cokol-

wiek większe znartwienie, niż dowiadywane się, co potrabiają owi żytni i pszenni ludzie.

Aż jednego dnia, niedawno, przychodzi do mnie nieszczęsna jakaś figura. Myślałem, że to zakład pogrzebowy przysłał do mnie swego rzeczoznawcę, aby zbadał, czy już dojrzałem do zamówienia. Figura uśmiechnęła się w moją stronę ostatnim strzępkiem uśmiechu, tak chuda, jak owo widmo z opowieści słodkiego Dickensa, przez które, przez bezmięśność brzucha, można było dojrzeć metalowe guziki na plecach fraka; jak ów u Szekspira aptekarz, któremu Romeo rzuca pieniądź ze zgrozą i ze słowami: „Masz, idź, ubierz się w mięso”.

Przybył „pokazał ręką na serce” i rzekł głucho, z odrobiną gorzkiej boleści:

— Mam wrażenie, że mnie nie poznajesz—

— Istotnie — bąknąłem — nie mogę sobie przypomnieć—

— Jestem Saradella

— Ha! — ryknąłem tak, że obraz zleciał ze ściany, a w sąsiednim domu zaczęło kwilić dzieciątko.

— We własnej osobie — rzekło widmo szczerstym głosem.

Wydałem z siebie taki dźwięk zdumionego podziwu, jak ów adiutant rabina, cmórkający przedziwnie, kiedy jego rebbe nadzwyczajną rzecz obwieścił.

Obejrzałem go ze wszystkich stron, oczom własnym nie wierząc. Cięń wionął w stronę fotela i za-

padł w nim, jak mgła w lesie. Rozpoczęliśmy rozmowę długą i przeraźliwą, często odpoczywając, aby mi gość nie umarł z nadzwyczajnego wyelfku.

— Przyszedłem do ciebie — mówił sennie — z prośbą, abys mnie nauczył pisać wiersze.

— Zwarjował, ale na miętko — pomyślałem sobie. — Wiersze pisać? POCO? — spytałem głośnie

— Bo widzę, że z tego można żyć. Ty żyjesz, wyglądasz jako tako, więc pewnie można...

Uśmiechnąłem się gorzko, ale niewidocznie, nie chcąc nieszczęśliwemu człowiekowi odbierać ostatniego zapewne złudzenia, aby nie skapiał doreszty, biedaczyna. Rzekłem nłagodnie:

— Nie wiem, czy to żart.

— To nie jest żart

— Czy zbankrutowałeś?

— Broń Boże.

— Pożar był u ciebie?

— To dobry pomysł, ale samemu nie wypada. Nie było pożaru.

— Saradello, gadaj rozumnie. Ziemię masz?

— Mam. Starczyłoby dla dziesięciu.

— A las masz?

— I las, i łąki, i staw, i wedle stawu gróbki. Mam dom wapniasty i stajnie, i stodoły.

— Więc czemu jak wyglądasz?

— Właśnie dlatego. (Jdybyś tego wszystkiego nie miał, wyglądałbym jak ty.

— Podobaś tu przyjęcia?

— Właściwie to po trumnę, ale nie dadzą na kredyt.

— Cóż się tedy stało, u licha! Gdzie jest twoje zdrowie, twoja siła, gdzie jest twój śmiech? Czy ty się już nigdy nie uśmiechasz?

— Owszem. Czasem uśmiech powraca na moje usta, ale tylko wtedy, kiedy przyjeżdża komornik. Czemu tak szeroko otwierasz oczy? Komornik to jedyny promień słońca. Siedzi sobie nieszczęśliwy człowiek na wsi i pragnie umrzeć, a wtedy Pan Bóg zsyła tego dobrego człowieka, z którym można pogadać, zagrać w pikietę i wygrać coś niecoś.

— Przecież komornik zabiera (u)entarz.

— Już dawno go zabrał, więc teraz przyjeżdża wprowadzić zawsze ze sprawą urzędową, ale właściwie dla własnej przyjemności. Bardzo to są mili ludzie i chyba tylko oni jeszcze mają odrobinę serca. I rozewnać się można jako tako. Kiedy pomyślę, że komornik przestanie przyjeżdżać, żmno mi się robi.

— Dziwne, dziwne! A ileż ty masz zapłacić?

— Nie wiem. Tego pikietę ale wle. Pewnie bardzo wiele. O ile sobie przypominam, mam jeszcze do zapłacenia podatek gruntowy, majątkowy, obrotowy, ubezpieczeniowy, budynkowy, dochodowy, samorządowy, podymne, czternaście rat i coś jeszcze, czego już nie pamiętam.

— I nie masz na to?

— Nie mam.



Cień wionął w stronę fotela i zapadł w nim... (str. 64).



— Może nie pracujesz?

— Bardzo pracuję.

— Sprzedajcie las!

— Nie wiemy.

— Sprzedaj drzewo..

— Nikt nie kupi. Niemcy nie kupują „dłużycy”, — ty nie wiesz zapewne co to jest, ale to wszystko jedno, a Rosja poszła do Anglii, jak las Birnam w „Makbetcie”, i cała Anglja jest pełna arosyjskich lasów.

— Sprzedajesz przecie zboże.

— Owszem, tylko z tym rachunkiem, że sto kilogramów kosztuje mniej dwadzieścia siedem złotych, a sprzedać mogę za osiemnaście.

— Bredzisz, Saradello!

— Zapytaj kogo innego. Z kartoflami też kokosowy robi się interes.

— Patrzcie, patrzcie. To ty dlatego tak wyglądasz?

— I ja myślę, że dlatego.

— I z tego powodu nie kupujesz moich książek?

— Ja wogóle nie kupuję. Sprzedałem chmiel i, jak ci mówiłem, chciałem sobie na wszelki wypadek kupić trumnę, ale nie wystarczyło.

— To z tobą aż tak źle?

— Źle nie jest, tylko znacznie gorzej, dlatego pragnąłbym, abyś mnie nauczył pisać wiersze. To chyba dobry interes.

— ●. Saradello! — jęknąłem — zazdrościlem

ci bujnego żywota, ale nie chcę cię ludzi: tem tak je nie zapobisz na trumnę.

— Ha! — krzyknął Saradella.

— Roztropnie to powiedziałeś — rzekłem mu miękko — daj tedy spokój temu przedsięwzięciu.

— Usiąść i płakać — mówił Saradella — narazie już siedzę, a płakać mogę zacząć każdej chwili.

— We dwóch łatwiej nam pójdzie, zaczynaj!

— Ale, ale! — rzekł mi — może chcesz zboża? Może drzewa? Może dziesięć wagonów kartofli? Bierz, bracie, ile dusza zapagnie, bo co ja będę z tem robił?

Straszliwe wtedy powiedziałem mu rzeczy: rzuciłem mu w twarz (!) tych dziesięć wagonów kartofli i bardzo pięknie zacząłem mu mówić o tem, że nie należy się poddawać, że siła nasza jest w ziemi, że był las, nie było nas, że nie damy się, że to i owa.

A on minic nie odrzekł, tylko się dziwnie uśmiechał, jak bardzo chudy, wymizerowany szatan.

— Odchodzę — rzekł wreszcie.

— Dokąd?

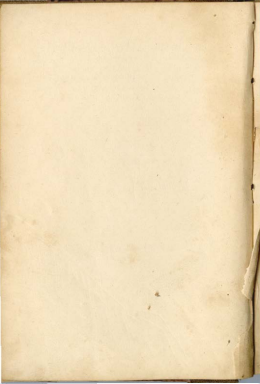
— Umrzeć. Ale raz jeszcze chciałbym uściskać konopnicę. On jeden mnie zrozumie.

— A jeżeli nie przyjdzie?

— Przyjdzie, przyjdzie! Śmierć może nie przyjdzie, ale on przyjdzie po podatek od metalowej trumny, podatek od zbytku.

Wionął, jak widmo, i posze dl. Wtedy ja padłem na kolana i modliłem się Bogu mojemu:

— O, dzięki Ci, Panie, żeś mi nie dał ani ziemi, ani lasu, ani wody, ani konia, ani osła, ani krowy, ani ryby, ani zwierzęcy, ani słotekników, ani komitetu strajkowego, ani lokomobili, ani inspektora pracy, tylko pióro i beczkę inkaustu. I przyrzekam, że już nigdy nie będę zazdrościł Hiobowi Saradelli.



Mój siemiarteluy

wrtog.

W wieczorną godzinę, kiedy już dzień osiwiiał, łęsknemi oczyma patrzy się na zachodzące słońce, a pod wicczór żywota zwraca się spojrzanie ku tym promienistym złociuchom, co zgasną lada chwila, albowe mgle niepamięci się rozptyną. Dlatego rad sobie wspominam o tych brewerjach żywota, kiedy to jeszcze pienilo się serce, a duszą przypomi nała bączkę wina. Na każdym kroku rośnie takie wspomnienie. Mógłbym przez sto dni Boccacjuszowych opowiadać historie z artystycznego żywota, gdyby nie strach przed takim groźnym człowiekiem, co jest z urzędu powołany do ochrony dotkliwie obrażonej moralności. Jurny jest bowiem naród artystowy i w głębie nieposkromiony. Wesołe są jednakże te powiastki z dawnych dni, kiedy młodość walczyła przeciw człownikowi smętku, co się później dopiero narodził z ojca Pesymisty i z czarnej mamy Melancholji.

Ta powiastka nie będzie jednakże wesoła. Ta powiastka będzie jadowita. Postanowilem bowiem rozprawić się wreszcie z człowiekiem, który tego zdołał dokazać, że włosy moje są przedwcześnie

siwe i że we wspomnieniach moich, pełnych nie-
wysłowionej słodyczy, jest jedna kropla ohydnej,
zabójczej trucizny. Powiem o pewnym panu, któ-
ry mnie, człowieka anielskiej dobroci, mógł łatwo
zamienić w mordercę. Słowa te piszę łzami, i jeśli
opowieść ta jest krótką, to dlatego tylko, że mi łez
zabrakło. Nie proszę nikogo o współczucie, pra-
gnąłbym jedynie, aby sprawca niejednej mojej
niedoli zasromił się i aby drgnęło w nim serce nie-
litościwe. Niechaj ze łzami w okrutnych oczach
przeczytało, co ja łzami pisałem. Dlatego nie okry-
łem tego człowieka czarnym płaszczem pseudoni-
ma i na twarz jego weneckiej nie nałożyłem ma-
ski. Nie będę niczego ukrywał: tym, który życie
moje zamienił w piekło, jest Ludwik Solski. Ha!
Ha! Widzę oczyma udręczonej duszy, jak w tej
chwili zbladnął, ale mnie to mało wzrusza, panie
Solski. „Nie miałeś litości, panie”, a ja nie będę
lepszy.

Patrzyłem niedawno z teatralnego fotela, jak
on naseenie szaleje, ten człowiek-demon, człowiek-
tajfun, człowiek-maszyna, siwy młodzieniaszek.
Gdyby Wezuwjusz wygasł, nakazałoby Solskiego
wprawić w kráter, a piekielna awantura zaczęłaby
się na nowo. Szybkobiegacz Nurmj miał szczęście,
że się z tym polskim nie zetknął czortem i nie zmi-
rzył się z nim w biegu na sto kilometrów; wielki
Finn mógłby wyzionąłby ducha, a Solski po-
biegłby jeszcze na próbę nowej sztuki.

Patrzę na to ludzkie dziwó, ludzie uczeiwikla-

skali w wielkiem szaleństwie podziwu i radosne wydawali okrzyki. Był jednak w teatrze ktoś, co milczał i patrzył na scenę wzrokiem złym i mściwym: to ja. Wszak to mój wróg śmiertelny szaleje na scenie. Choć się działo to przed wielu, wielu laty, jatak łatwo nie zapominaam. Śolski był o dwadzieścia pięć lat młodszym, co we wspaniałej stercie jego lat jest szczytem słomy. Jeżeli dziś coś go jeszcze roznosi, łatwo sobie wyobrazić, co to był za opętaniec przed Świerc w Wielkim. Wtedy to zatrul mi duszę i życie. Śolski mnie po Świercu prześladował mnie bez wytchnienia, uwziął się na mnie.

Udawalem raz w Ostendzie młodą lorda, Poindanie bowiem pary śnieżno-białych ineksprymabli mogło zwiędzić oszłomionych moją elegancją cudzoziemców. Świat byłby piękny, gdyby djabło wie nie przyniesło do Ostendy Śolskiego. Było to dziwne cokolwiek, że wpuszczono tam ludzi z taką głębią, nie można było jednak temu przeszkodzić. Odrazu zrobił się ruch i rumor, bo czegoś podobnego jeszcze tam nie widziano. Ludzie stawali na ulicach, tam chodzili ze ślim od rana do wieczora, wydając zdurnione okrzyki podziwu, patrząc zachłannie na to monstrum, walczące się po najwytworniejszej na świecie plaży w krótkich tyrolskich partkach, z golemi, niedźwiedzią modą obrasłemi nogami, w kapeluszu z piórkiem, filiternie wykręconem, i z Madejową w ręku pałką, wysokości człowieka. Do tego wszystkiego dodać należy śmiertelnie poważną minę i podkute buty.

Z taką to kreaturą musiałem się przez dzień cały waleśać ja, młodzian nienagannie wytwórny, po-
~~iędliwy cel spojrzeć~~ ~~w~~ ~~wyatkich~~ ~~młodzianowodo-~~
wych kokot. Płakać mi się chciało, kiedy ludzie
biegali za nami, jakgdyby cyrk przyjechał. Ale
to jeszcze nie... Wywiozłem zbrodniarza do Bru-
ges, na jubileuszową wystawę Złotego Runa. Coś
tam szachrował i gdzieś mi zniknął na krótką
chwilę. Nazajutrz było przedstawienie, Boże Ty
mój! Ten Antychryst kupił sobie w Bruges imita-
cję Złotego Runa, poczem sam siebie mianowawszy
uroczyście jego kawalerem, ~~powiesił~~ ~~sobie~~ ~~na~~ ~~szyi~~
~~wopięniętego~~ ~~barana~~ ~~na~~ ~~łańcuchu~~ ~~i~~ ~~wyszedł~~ ~~na~~ ~~pla-~~
żę. Przerazonemu zachwytowni nie było końca, ile
razy kto spojrział na straszliwego Tyrolczyka ze
Złotem Runem na piersi. Natrętom tłumaczyłem
w nagłym obłędzie, że to wicekról Dahomeju, i wia-
łem czem prędzej, aby wraz z samowójczym ka-
~~walercem~~ ~~nie~~ ~~znaleźć~~ ~~się~~ ~~na~~ ~~reszcie~~ ~~dni~~ ~~swego~~ ~~w~~ ~~cu-~~
dzoziemskim ~~hymniale~~. Ten cudłowny kawaler cu-
dem go tylko uniknął, była to jednak krzywdząca
niesprawiedliwość, bo mu się kilka latek należało,
jeśli nawet nie za to ponure szachrajstwo, to z całą
pewnością za oszukańcze zakłady, których ja ra-
wsze padałem ofiarą.

Pan Bóg ręce załamywał na widok przeraźli-
wychmoich nieszczęść, a pan Sołski, jakgdyby ni-
gdy nie, uśmiechał się.

Siedziśmy sobie raz w słońcu na ławeczce, po-
~~wyższej~~ ~~wymienionej~~ zbrodniarza, jego przyjaciela, też

podobny numer, i ja. Nagle Solski pochyła się i podnosi coś z bruku.

— Patrzcie — powiada — znalazłem franka.

Wyrzuciliśmy wielkie dla jego szczęścia uznanie, on zaś zaczął dowodzić, że frank ten jest współną naszą własnością.

— Zrobimy tak — powiada ten faryzej — że po powrocie do kraju postawimy taki szczęśliwie znaleziony pieniądź na liczbowej loterji, a wygraną podzielimy się, jak bracia. Niech każdy powie jakiś numer.

Wesoło powiadani swój numer, oni też. Solski zapisuje je na żółtym papierku i wija nim monetę, poczem, schowawszy go w kieszeni, odchodzi.

Wtedy „ten trzeci”, piekielnik bez sumienia, mówi do mnie:

— Zrobimy Solskiemu kawał. Wyjąłem mu z kieszeni papieraek z frankiem, a kiedy powróci, włożę mu do kieszeni ten sam papieraek, ale z dziesięcioma centynami. Ty się z nim zalóż o kolację, że nie ma franka.

— Doskonale! — wykrzykam.

Dusza rozradowała się w mym, że złapiemy wróbelka na plęwy.

Solski powraca, „ten trzeci” coś tam manipuluje, kłóci się z klaszarnikami, reszta tręga na mnie na teną: „Gotowe!”.

— Masz jeszcze franka, Ludwiczku? — pytam niby tak sobie.

— Mam — odpowiada Solski.

— A ja się mogę z tobą założyć, że go nie masz.
— Przysięgam ci, że mam.

— Masz — powiadam — ale dziesięć centymów!

— Daję ci słowo, że mam w kieszeni franka.

— Założmy się, jeśli jesteś taki pewny.

— Mogę się założyć, ale oświadczam ci z góry,
że przegram.

Ja wiem, że nie mogę przegrać, i dusza moja
wierzyła z hajduckiej radości.

— To moja rzecz — powiadam jadowicie — ty
się tylko załóż.

— Będziesz płakał — mówi on.

— Jeden z nas będzie płakał — mówię ja.

Staje zakład, omówiony w najdrobniejszych
szczegółach: przegrywający płaci za wielkie przy-
jęcie w najwytworniejszym hotelu. Ja układam
menu. Ostrygi, homary, cholewy najróżniejsze, byle
najkosztowniejsze. Wino do tego takie, do tamtego
owakie. Solski jeszcze coś wyniósł i jeszcze coś
dodaje, a ja nie chcę być gorszy od niego i dorzu-
cam butelczynę Mouton Rotschild. „Ten trzeci”
śmieje się w kulak, widząc pogrom Solskiego. Roz-
wijamy uroczyście papierek, i niebo upadło mi na
młodą głowę: w papierku był frank. „I pocóż serce
jadem wspomnień pić?”. Te dwa diabły znówiły
się i odegrały całą komedję z manipulowaniem
koło kieszeni i t. d. Musiałem przegrać, ale to nie
było najgorsze. Straszna była sama uczta, którą ja
sam wymyśliłem. Niedziałem błady z niebieskim,
apoplektycznym odcieniem, a homar, bydlę czer-

wone, nie chciał mi przejść przez gardło. Solski pił Mouton Rotschild, a ja piłem żółć. Anioły płakały nade mną, ale nie mogły mnie pocieszyć.

Krew zapiekła się we mnie, i teraz polowałem na Solskiego metodycznie. Spędziłem n biersenne noce, byle coś wymyślić na jego zgubę. Wnet nadarzyła się sposobność wyborna.

W tym samym, co i my, hotelu mieszkała jakaś śliczna mamszela, w której wszyscy podkochiwali się, czule i rzewnie wdychając. Raz mi się zdawało, że na mnie spojzała, ale była zamysłona i pesznie ją się przywidziało, że patrzy na szafę. Okropnie była dostojna i marmurowa. Solski też zawracał oczyma, ale mu powiedziałem, że psy wyją na taką urodę, jak jego niezmierna uroda. Coś on jednak musiał spenetrować, bo dniajedne go osładrzył ku zdumieniu naszemu, że to nasze wymarzone bóstwo wcale nie jest bóstwem, a na świadków tego może się ze mną założyć bardzo uroczyście, że przy świadkach włoży rękę za jej suknię. Prawdę mówiąc, ruch miał być śmielszy jeszcze, ja jednak, mając na względzie zbawienie ~~duży~~ własnej i niewinnego czytelnika, nie postanowiłem wyraźnie, do czego ten człow ieksię zobowiązał. Scenie to hajdaństwo było tak bezczelne i nieprawdopodobne, że bez najmniejszego namysłu układ został zawarty. Oczekiwałem radośnie chwili, kiedy ten przeniewierca powróci z podbitym okiem, albo w kajdanach. Powrócił z oszalałej wyprawy dostojny i dumny, a ja oszał ze samobójstwem nie

przerwałem mojego żywota. Ten potworzy człowiek przywiódł świadków wiarogodnych, którzy ponad wszelką stwierdzili wątpliwość, że dokonał bezecnej rzeczy i w ich obecności „włożył rękę — za jej gors idługoręki nie cofał”.

Oczy wyszły wszystkim nawierzach ze zdumienia, a ze mniewyszła też i dusza, nie chcąc dłużej mieszkać w ciele bę cwala, którego Solski w cięż na hak przywodzi. Ten brat ezorta i kuzyn Mądeja zbója wypatrzył chwilę, kiedy piękne bóstwo powróciło z jakiejś wycieczki i powiesiło sportową sukienkę na wieszaku przy drzwiach, aby ją oczy szczono z kurzu. Solski zwołał czem prędzej świadków, włożył rękę w kieszkę i „długoręki nie cofał”, że zaś w osnowie zakładu nie było wyraźnie powiedziane, czy sukniama być pusta, czy wypełniona damą, wygrał zakład, oczywiście.

Nie było rady na tego szalbierza. Gotowałem w duszy zemstę, jak w piekielnym kotle, ale trudno było wynajść coś takiego, aby mu w pięty poszło. Raz go wreszcie dopadłem, we Lwowie. Młodniejszy się czułem na tym terenie, mając pod ręką sprzymierzeńców zmyślnych i do wszelkiego łajdactwa skorych. Trzeba było pocieszyć wzburzoną duszę hyle czem, zanim wielka nalarzy się spowolność. Ten Łiedymitr przepada za takim paskudstwem z jabłkiem, które w restauracyjnym języku zowią „szarlotką”. Siedzimy w knajpię przy obiedzie. Solski ma właśnie posypać ukochaną jadalnię stertą cukru, gdy wtem wołają go do telefonu.

O, zemsto! Jak żaki wypalił my mu na tę smakowitą coś coś cztery garście soli. Głupi to był kawał, lecz co było robić za wszystkie nasze krzywdy? I to też pociecha, że za chwilę z bawolinrykiemieśnie ta lerczem. On wraca, wszyscy czekają, a każdy jakąś miał z nim sprawę. Solski bierze do ust jeden kęs, potem drugi, nieznacznie się uśmiechnął i... zjadł tę straszliwą potrawę doostatniej okruszyny. A nam wszystkim jakby kto w pysk dał. Straszny człowiek. Byłby zjadł całą Wieliczkę, a niebyłby drgnął, aby z siebie nie zrobić pamiętnika

Zato ja omalraza jednego nie umarłem ze strachu zaszprawa tegonieludzkiego kpiarza. Okropnie, jako prawy Małopolanin, bojałem się przejazdu przez rosyjską granicę, a żandarmy hudyły we mnie dreszcz. Strach mnie oblatywał i czepiał się mnie jak smoła, daleko przed granicą. Dlatego właśnie musiało tak się zdarzyć, że razem z Solskim jechałem z Krakowa do Warszawy, ponieważ zaś wzięłem damską jedwabną suknię, kupioną u madame Pransowej w Krakowie, bałem się tedy podwójnie: i na własny rachunek, i na rachunek tegodamskiego obleczenia.

— Nie bój się — powiada mi Solski. — Ja jestem stary praktyk w przejeżdżaniu granicy. Wprawdzie tam teraz ogromnie ostro...

— Czemuż to?

— Nie wiem, ale już mnie ostrzegali. Coś węgry i okropne robią szykany. Myślę jednak, że coś się da zrobić...

— O tomi tylko idzie, ale jak?

— Bardzo łatwo — powiada ten szatan — każę ci do tej nowej sukni przyszyć wteatrze podpachami stare gumy, a gdyby cię przyłapali, gadaj, że to stary lachman. Włóż ją do czarnej walizki, a jak kija koniecznie otwieraj, udawaj, że nie rozumiesz, i otwieraj czerwoną.

— Wybornie — szczęknąłem zębami ze strachu.

— Ze mną jest gorzej — mówi mi on tajemniczo. — Co tam twoja suknia! Ja wiozę do Warszawy pięćset cygr.

— Skończymy obaj w kryminale — pomyślałem rzewnie, i jedziemy.

Bezus tamte powtarzałem sobie: „Suknia w czarnej, otwieraj czerwoną...” Solski począł tuż przed granicą opowiadać mi niestworzone o bandarmach historje. Dobijał mnie umięjętnie, powoli, melodycznie, abym dojrzał. Czułem się tak, że niemal h...n...ać.

— Rozłączmy się i udawajmy, że się nieznamy.

Spełniam wszystkie jego nakazy i z drżeniem serca, jako też i nóg, zdążam do rewizyjnej sali. Odrazu mnie to uderzyło, że zamiast zwyczajnego celnika podchodzi ku mnie jakaś szarża i bacznie mi się przygląda. Szukam spojrzeniem Solskiego i widzę naj wyraźniej, że on drży ze strachu i takie w moją stronę robi miny, jakgdyby mnie błagał o ratunek.

— Jeżeli — myślę — stary praktyk ma chudą

ADONIS



Przyszł mi raz do mnie człowiek — nie! to nie był człowiek... Służąca, która otworzyła mi drzwi, uciekła z krzykiem. Niski, gruby, poczwarnie intyczny, ale taki, co się może przysiać; w oczach miał ostrego zęza, miał zajęczą wargę, szczeciniowate włosy, a usta takie, że wśród zachwyconego wyśia zostałby królem najstraszliwszego plemienia ładożerców, gdyby go ci przyjemni ludzie mogli ujrzeć. Miał lekki garb z przodu, zaśo znacznie większy z tyłu, długie, bujające się ręce oranga tanga, a nogi wygięte w kabłąk. Kiedy na przywitanie próbował się uśmiechnąć, ukazały się zęby, o których, szanując nerwy czytelnika, powiemy krótko, że były to zęby nieszczęsne.

„Otwórzcie otwór, niech wejdzie potwór!” — zagadałem do siebie zadowolaniem z „Makbeta”, nie mogąc uciec śladem mojej służącej; on zaś nietylko wszedł, ale usiadł skromnie. Przyszło mi na myśl, że może w moście jest monasterja, albo Gabinet Osobliwości, a ten stwór, uciekwszy stamtąd, trafił do mnie. Może mnie chce zastordować, jak mała z opowieści Poëgo. Z pozoru wydał mi się

lagodny, i chociaż nie mogłem być pewny, czy ostrzył swoim zębem patrzy na mnie, czy na niec, mogłem jednak dostrzec w jego ~~wzroku~~ smętną ja-
kąś żydziwość. Dziwnie czułem się w jego towarzy-
stwie, wolał mając to wrażenie, że dość nm będzie
wyciągnąć koszmarnie długie ręce w moją stronę,
aby mnie udusić. Trzeba było jednak coś doniego
zagadać, bo on nieśmiało milczał.

— Czy pan do mnie przyszedł?

— Tak, do pana.

Głos jego przypominał szczotkę z ryżowej słomy, twardą i szorstką.

— Kim pan jest?

— Jestem człowiekiem nieszczęśliwym.

— Dlaczego jest pan nieszczęśliwym?

— Niech pan spojrzy na mnie.

— Istotnie! — rzekłem mimowoli — przepra-
szam pana! — poprawilem się natychmiast — niecze-
go złego nie miałem na myśli.

— Niech pan nie przeprasza — rzekła szczotka
z ryżowej słomy — na mój widok dzieci uciekają,
a kobiety czynią znak krzyża, pewne, że ujrzały
djabła. Są to niemądre kobiety, bo najbrzydszy
djabł jest piękniejszy ode mnie.

— To bardzo smutne... — bąknąłem, aby coś
powiedzieć.

— Tak, to bardzo smutne!

Milczeliśmy przez chwilę nieprzyjemnem mil-
czeniem; on nie miał odwagi, a ja ochoły do roz-

nowy. Żał mi było tej tragicomicznej imitacji człowieka, widok jednak był ponad miarę przykry.

— W jakim celu przyszedł pan do mnie?

— W bardzo dziwnym celu: aby mnie pan pocieszył.

— Ja?

— Tak.

— Możeby lekarz...

— Lekarz małe nie odmieni, stu chirurgów nie wyprostuje mi nóg, ani nie skróci moich rąk, z których gorył byłby domowy.

— Niechże pan tak o sobie nie mówi!

— Mówię to, co pan za chwilę pomyśli.

Wezwał inteligentnie to wykalkulował, więc się uśmiechnąłem. Musiałogo to osmieszyć, bo powiada:

— Kiedy ujrzałem siebie po raz pierwszy w zwierciadle, dostałem ataku furji i stłukłem zwierciadło, które najpierw obraziłem swoim wizerunkiem, a zamordowałem z głupoty. Z czasem przywykłem do swojej osoby, ale już nigdy nie przeglądałem się w lustrze. Mało mi to jednak pomogło, gdyż każdy spotkany człowiek zastępował mi je nieodmienne; z przerzalenia w ludzkich oczach widziałem, że się ule zmieniałem na korzyść. Życie moje stało się straszne i ciężkie. Ulicznicy gwizdają na mój widok, dozorca odwraca się, wręczając mi gazetę, w lokalach publicznych podają mi niechętnie i impertynencko, w teatrze jest zawsze obok mnie puste miejsce, bo przypadkowy sąsiad żąda w kasie zmiany biletu.

— Ależ to straszne!

— Przywykłem, przywykłem... Wszystko jednak ma swój kres... Ja już dłużej tak żyć nie mogę. Żyję i wcale nie żyję; jestem, ale tak przerażliwy, że mnie niema, bo dookoła mnie jest pustka. Wczoraj zaś...

— Co się stało wczoraj?

— Okropna rzecz się stała... Na mój widok zemdlala kobieta, która była w odmiennym stanie.

— Och!

— Tłum się zebrał, i chciało mnie zabić za to, że jestem taki potworny.

— To przecież nie pańska wina.

— Byłbym mniej więcej to samo powiedział tym ludziom, co mnie chcieli z największą szlachetnością wyprawić z tej pięknej ziemi, ale łatwiej było uciec, niż wyglaszaj mówę.

— I to pana tak wzruszyło?

— To tej, ale (inna sprawa) wzruszyła mnie więcej. Rozmyślałem nad tem przez noc całą, a o świącie postanowiłem się powiesić.

— Powiesić?!

— Człowiek z moją twarzą nie może być w ybrzdny w wyborze śmierci. Czy pan może sobie wyobrazić panikę na tamtym świecie, gdybym ja się tam zjawil? Nawet w piekle byłbym porzwara. Postanowiłem się powiesić, bo życie moje nie jest di

— Przecie pan żył. Ile pan ma lat?

— Trzydzieści dwa lata hańbi świat

— Wytrwał pan tak długo, w żywa pan dłużej.

— Nie, już nie wytrwam. To nie, że ludzie uciekają na mój widok, niekrem są wszystkie moje nieszczęścia; zgrzytam tą mizerną resztką zębów, a w sercu podniecam wściekłość. Moje życie nie dlatego jest straszne, lecz z innego powodu. Panie! Wszyscy na świecie kochają się. Miłość jest udziałem każdego żebraka i każdego zbrodniarza, tylko ja, ja jeden jestem wyklęty, ja jeden jestem trędowaty. Panie! Ja pragnę, ja się modłę, ja wyję o miłość!

— O miłość!? — wykrzyknąłem zdumiony.

— Otóż to — rzekł on z goryczą. — Pan też się zdumiał, że potwór mojego pokroju może narzyc o miłości. O, mój Boże!

Po raz drugi zawstydzilem się mojego okrzyku i spuściłem oczy.

— Wiem — mówił on — że łatwiej można by ofiarować miłość djabłu, niż mnie. Czemu się pan dziwi, że tylko dobrze zawiązany stryczek może mnie sprowadzić na drogę rozsądku i do pozbycia się raz na zawsze opętanych złudzeń. Głu pio uczyliem, że przyszedłem do pana. Proszę, aby mi pan wybaczył.

— Ależ, na Boga, co ja mogę dla pana uczynić?

— Niech się pan rozśmieje, ale wyznam panu, co mi się uroiło: pomyślałem sobie, że czydziśzadynam na sznurku, caj jutro, światem to nie wstrząśnie. Wiem, że pan jest człowiekiem pogodnego ducha, więc rzekłem sobie, że wybiorę się do

pana i zapytam wprost: czy mam się odrazu powiesić, czy przez czas niejaki ludzić się obłąkaną nadzieją. Je miłość może spojrzeć raz w tyciu na takiego, jak ja, potwora?

Chciałem zakrzyknąć:

— Powieś się sam odrazu, byle nie u mnie!

Spostrzegłem w tej chwili, że mój straszliwy gość utkwił uporeczywe spojrzenie w szafie, z czego zapomocą szybkich obliczeń doszedłem niezbitnie, że patrzy wprost w moje oczy. Drżesz przebiegi — po — mnie. Jeśli temu nieświadomemu odmieńcowi powiem, że miłość jest ślepa jedynie w przypowiasłkach, zwykle zaś patrzy bystrzej, zanim kiedyś, później oślepnie, lub zmruży oczy, — to się odmieniec wyprawi na tamten świat; jeśli uczynię odwrotnie, obudzę w biedaku jakieś obłąkane nadzieje i do jego przeraźliwych nieczęści dodam ostre szaleństwo. Po jakiego licha właśnie mnie to musiało spotkać, abym pocieszał zezowatego garbusa z zajęętą wargą i obiecywał mu miłość?

Musiałem mieć kiepską minę i cichą w spojrzeniu rozpacz, gdyż mój okropny gość powstał.

— Dziękuję panu — zaskrzypiał, ale smutno. — Ja już odchodzę.

— Dokąd?

— Prawdę powiedziawszy, do diabła.

— Czekał pan!

— Na co?

— Nie mogę panu odpowiedzieć odrazu. Sprawa

— 11 —

jest ciężka, a nie chcę być lekkomyślnym. O co panu tedy idzie?

Gość usiadł zpowrotem, a spojrzawszy z wdzięcznością na piec, rzekł do mnie:

— Pan jest zacnym człowiekiem...

— Mniejsza o to!

— Bynajmniej. Teraz widzę, że pan mnie pocieszy. Jeśli pan zdoła tego dokonać, ocali pan jedno życie, nie powiem „Judzkie życie”, bo zbyt mało przypominam człowieka, ale każde życie jest coś warte. Ostryga też żyje. Ja wiem, że jest to porównanie zuchwałe na moją korzyść, a z wielką krzywdą ostrygi, ale niech mi pan przebaczy. Otóż jeżeli będę żył z pańskiej łaski, padnę panu do nóg i będę błagał, aby pan do mnie sprowadził miłość.

Ziemia zatrzymała się w swoim biegu i w nagłym obłędzie zaczęła wirować w przeciwną stronę

— Co takiego? Czy ja mam wystarać się o kochankę dla pana? Czy pan zmysły postradał?

— Nic podobnego! Ja pana w swoim czasie poproszę o takie słowo, którem zaklina się miłość.

— Jaktó, o jakie słowo?

— O takie, których pan zna bezliku, a ja nie znam ani jednego.

— Nie nie rozumiem.

— Bo na to przyjdzie czas. Teraz idźcie mi o to, aby pan powiedział mi jasno: czy ja mam żyć, czy umrzeć?

— Niech pan żyje... — rzekłem niepewnie.

— Gdyby z takim zapalem, jak pan w tej chwili

li, wolano „niech żyje!” uwielbianym osobom, uwielbiane osoby powinny z miejsca zamówić trumny.

— Przepraszam pana, ale sytuacja jest tak wyjątkowa... Wiele ludzi o wiele prosiło mnie rzeczy, ale nigdy jeszcze ani o życie, ani o miłość... Czego pan chce, u licha! Chce pan, aby panu powiedzieć, czy znajdzie się ktoś, co spojrzy na pana i niezemdleje, lecz przeciwnie, zakocha się w panu?

— Właśnie, właśnie! — krzyknął ten człowiek na odmianę w stronę biurka.

— Na to mogę panu odpowiedzieć, że wszystko jest możliwe na tym świecie; w tej sprawie już mądrość naszego ludu przygotowała dla pana małą pociechę.

— A mianowicie?

— Nie obrazi się pan?

— Ja już od godziny obrażam pana widokiem mojej twarzy, a pan nie ma nic przeciwko temu, dlaczego więc ja miałbym się obrażać? Cóż mówi mądrość ludu?

— „Kaźda potwora znajdzie swego amatora...”

Mój gość zastanowił się, potem wydal z siebie głos przestraszonyj żaby:

— Mądrość ludu jest niezwykle przenikliwa, istotnie znacznie małe pan pocieszyl. Ponieważ jednak przysłowia ludowe układane są na użytek miejscowy z uwzględnieniem zwyczajów, obyczajów i tradycji na ograniczonym terenie, przenie-

sione w obce środowisko, mogą się okazać zawodne, najwne lub niezrozumiałe.

Coś tam jeszcze bredził, podczas czego ja rozmyślałem pilnie o tych szalonych wypadkach, zapisanych przez historję, czy też podanych w zdumionej legendzie miłosnych godach potwora z boginią, karta lub olbrzymia z piękną nimfą. Bywały niewątpliwie kobiety, które miłowały miłość dla miłości, romantyczną awanturę, sztukę dla sztuki, bez uwagi nabohatera. Tak, ale z potworem... Bez krytyczne szaleństwo i pożądanie miłości do prowadzi kobietę czasem do tego, że potrafi zakochać się nawet w człowieku uczonym, w astronomie, matematyku, ba! w historyku, i co jest już ponad pojęcie: w autorze słownika. Amor flat ubi vult. Nawet te lekkie z pozoru przypadki ukraczają w dziedzinę podnieconego obłądu. Nikt mi bowiem nie wytłumaczy, że kobieta, jako tako zdrowa na umyśle, może się oddać profesorowi wyższej matematyki, który nosi długie kałesony, zawiązane na tasleńki, a kobietę uważa za nieładoma, — albo w historyku, który w niej widzi wczesny okres średniowiecza, a jeśli ją przez rostargnienie pogladzi, to dlatego tylko, że myśli, jakoby gładził pergamin z królewską pieczęcią. Tak, ale z potworem... Z takim, jak ten oto, albo jeszcze wspanialszym...

— Mam! — zawołałem uradowany.

— Powraca mi pan życie.

— Czy czytał pan kiedy Szekspira?

— Coś słyszałem... czy poeta ten przewidział moje męczeństwo?

— Owszem, ale młody pan być przygotowany na dość nieszczęsne towarzystwo. Otóż Tytania, królowa elfów, zakochała się do utraty różowego rozumu i jeszcze bardziej różowej duszy w gburze z osłą głową.

— To pięknie z jej strony, a historja jest wyborna. Rzecz w tem, że osieł jestode młode nieporównanie piękniejszy. Czy bardzo go kochała?

— Aż do obłądu. Kombinacja ta stworzyła całą dynastję, do dziś niewygasłą, kompozycję ale goryczną: bogini i durnia.

— Jestto już wiele, ale nie wszystko, ponieważ ja nie jestem całkowitym osłem, a boginią trudną do znalezienia. Czy nie zna pan bardziej ludzkiego przypadku?

— Znam. Faryse, córka króla Minosa, zakochała się w byku i, wdziawszy na siebie skórę łaciej krowy...

— Co pan mówi...

— Z tego nawet syn się urodził, pół człowieka, pół byka, Minotauros.

— Straszliwe rzeczy działy się na świecie. Balsam leje pan na moją duszę, ale jeżeli kosmaty i ryczący osieł jest ode mnie piękniejszy, cóż mówić o byku, który jest zwierzęciem wspaniałem? Każde zwierzę zresztą, nawet koczokodan, ma nademną przewagę. Ten, interesujący zresztą, przypadek nie odpowiada dość ściśle memu położeniu.

— Czekaj pan, czekaj pan— Czy pan czytuje książki?

— Nie. W książkach żyją piękni ludzie i zawzięte się kochają, a to mnie drażni. Czy zna pan książkę, w której cudna kobieta kocha poczwarę?

— Znam. Czy czytał pan Wiktora Hugo „Człowieka, który się śmieje”?

— Nie słyszałem o nim.

— Sam sobie uczynił pan krzywdę. Otóż w tej to książce właśnie opisany jest romans szalalej, a pięknej, jak bóstwo, księżniczki Jozyany ze straszliwą nieszkarą, niejakim Gwynplainem.

— Jak wyglądał ten człowiek?

— Mniej więcej, jak... pan...

— Ptaszki!

— Okropny!

— Ach, to piękne, to nazbyt piękne! Niech pan czym prędzej mówi dalej...

— Niejaki pan Lopez dowiedział w bardzo mądrej komedji, że nadobna dziewczyna mogła się serdecznie zakochać w potwarzarnym człowieku, niejakim Ferrante.

— Panie, czy to możliwe?

— W każdym razie prawdopodobne. Ale to jeszcze nie koniec! Opisując romans swojego bohatera z księżniczką, Wiktor Hugo wylicza główne wypadki takich dziwnych miłości. Są to wprawdzie legendy, ale mądre legendy, mające głęboki w sobie sens. A o co panu idzie? Nie o prawdę, ale

o jej cień, o prawdopodobieństwo. Jest to ponura poezja, ale jednak poezja—

— Niech pan mówi, niech pan mówi!

— Jeśli sobie dobrze przypominam, to w czasach dość odległych zakochała się na śmierć boska Amfitryta. Jak pan myśli, kogo miłowała boska Amfitryta? Czy boga, czy śpiewaka, czy lutnistę? Akuratnie! Boska Amfitryta miłowała Cyclopa, straszliwego dryblasa, pachnącego kozią stajnią, chama z jednym okiem na czole, głupowatego potwora.

— Ależ to jest cudowne! Powiada pan, że miał tylko jedno oko. Uściskałbym tego kochanka! Ach, jak piękna musiała być jego miłość...

— Być może, ale wątpię; ten drab, lypiąc jednym krwawym okiem, bijał pewnie swoją boską kochankę, co, wedle najstarszego przepisu na miłość, bardzo ją pomnaża... Najlepszy wybór uczyniła śliczna czarodziejka Urgela...

— Piękne imię!

— Imię piękne, ale baba była głupia. Mogła się kochać w najbardziej tęczowym duchu, w najpiękniejszym młodzieńcu, zamienionym przez nią w hiacynt, a kochała...

— Kogo? kogo?

— Nieskończenie potwornego lapserdaka, niejakiego Bugryksa.

— Czem się odznaczał ten młodzieniec?

— Miałna każdejdłoni osiempletw. Gdybyich miał siedem, mógłby go nie spotkało to szczęście,

ale że ich miał osiem, piękna czarodziejka nie mogła wytrzymać.

— Niezbadana jest dusza kobiety! Czemu ja nie mam pletw!

— Jeszcze panu mało?

— Uwaga pańska jest dość słuszna, choć cierpka. Czy wyliczył pan już wszystkich moich kuzynów?

— Nie jeszcze. Należałoby wspominać o dziełnej Pentesilei, królowej Amazonek, która milowała Centaura, brodatego ogiera

— Zbyt mało go przypominam, niestety! Czy nie było wypadku z orangutangiem?

— Nie, ale z indywiduum równie przystojnem Królowa egipska, Rodope, piękna to była kobieta, lecz zwarjowała wcale potężnie, zakochawszy się w niejakim Pheta, młodzianie, który miał pysk krokodyla, co mu znakomicie pomogło w miłosnej karierze, bo oszalała królowa nietylko że mu oddała swój królewsko-egipski majestat, z szat ogolony, lecz ponadto wystawiła mu piramidę

— Uwielbiam królowę Rodope! Powiada pan, że miał pysk krokodyla, więc nie był chyba zbyt przystojny?

— Dłapana najbardziej pocieszający powinien być inny wypadek, niemający już związku z mitologią i dość bliski naszych czasów. Podobno — zastrzegam się, bo mi się to nie chce pomieścić w głowie — piękna królowa Marja Stuart chętnie widziała poskudnego karla, Rizia.

— Paskudny i karsel? — ależ to ja!

— Jak się panu podoba... Ma pan na pociechę wyborny zespół, przeczytaj pan Wiktora Hugo i szukaj szczęśliwie miłości.

Potwór ożywił się wielce i, chcąc mi zapewne rzewnem spojrzeniem wyrazić swoją wdzięczność, szukał oczyma moich oczów, czynił to jednak na-daremno, bo wzrok jego biegał wciąż po kątach, ponieważ zaś nie mogłem znajdować się w dwóch miejscach równocześnie, a jego oczy nigdy nie mogły być razem, o porozumienie bez słów było dość trudno.

— Jestem panu nieskończenie wdzięczny — rzekł, a słowa jego zjeżyły się i wydawały dziwny chrzęst; — z tego, co mi pan powiedział, widzę jasno, że sprawa moja nie jest beznadziejna; jeśli w tych opowieściach jest jedna tysięczna część prawdy, jeśli te doskonale baśnie są choćby naj-dalszem echem jakiegoś prawdziwego zdarzenia, niema powodu, aby zdarzenie takie nie miało się powtórzyć. Zawdzięczam panu życie!

— Już się pan nie powiesi?

— Zawieźm tylko wykonanie wyroku na czas niejaki.

— Na jak długo?

— Toteż od pana zależy.

— Już mi pan to raz powiedział. Czego pan chce?

— Ja nie chcę, ja błagam, na kolanach pana błagam.

— Ale o co?

— O kilka słów. Ja dobrze obmyśliłem tę sprawę i, jeżeli mi pan dopomoże, moje obłąkane marzenie zmieni się w rzeczywistość.

— Mów pan! — rzekłem niecierpliwie.

— Panie najdroższy! Postanowiłem dać ogłoszenie w gazecie w dziale „Matrymonjale”.

— Pan się chce ożenić?!

— Czy pan wolałby, abym się powiesił? Czemu pan miśe znówu zabija swoim zdumieniem?

— Ależ gdzie pan znajdzie...

— Taką, któraby moje chciała? Jeśli królowa Rodope pokochała krokodyla...

We własne schwyłany sidła, osłabłem; spojrziałem na niego złym wzrokiem, lecz przymknąłem csem przedziej oczy, ujrzawszy jego gębę, pomazaną przymilnym uśmiechem, wobec którego uśmiech Gwynplaina był uroczy. Jedno nśmiechnięte jego oko zawi sło na lampie, zwisającej z pułapu, drugie badało wewnątrz kosza na papiery.

— Krótko mówiąc — rzekłem z tłumionym gniewem — pan chce, abym panu napi siał to ogłoszenie?

— Czyta pan moje myśli! Niech pan napisze wzruszająco, pięknie, tak, żeby ktoś zapłakał, a potem ofiarował panu łzy z mojej serce... Umie rajd-cemu z pragnienia nie odmówiłby pan kropli wo-
ły ~~niech~~ pan miśe jej nie odmówie!

— Dobrze, ale pod warunkiem, że to już będzie kouice.

— Koniec udręki dla pana, początek szczęścia dla mnie! Oczywiście!

— Siech pan przez dziesięć minut nie gada. Napiszę panu.

Napisałem wzruszający list otwarty do wszystkich kobiet tego świata różnego stanu i wyznania; zakląłem je w imię miłości, aby się ulitowały nad straszliwie brzydkim człowiekiem, posiadającym zato wielkie zalety serca i umysłu. Każde słowo zmieniłem w pokorną łzę, w skowyt tęsknoty, w cichą rozpacz konającego w samotności serca. Błagałem je, aby napisały do nieszczęśnika, który na kolanach czeka ich wyroku i na kolanach przepelnie do stóp tej, która ma dość wielkie serce, aby oczekiwać potwora.

Gdybym sam dla siebie prawił o miłość, nie mógłbym być tego uczynić rzetelniej i piękniej. Potwór przyjął mój utwór z głośnem uznaniem, wydając takie okrzyki zachwytu, jakie wydają żarzynany baran.

— Cudownie! cudownie! — charczał. — Pan Bóg mnie natchnął myślą udania się do pana. Jaki wdzięk słowa, ile w każdym wzruszenia!

— Więcej to panu wystarczy?

— Niezupełnie — odrzekła kreatura.

Spojrzałem na niego z kwaśnym zdumieniem.

— Napisane jest cudownie, ale brak tam jednej uwagi. Czy nie byłoby dobrze dodać ją przy samym końcu, niby tak sobie, odniechocenia...

— Jakiej uwagi?

— Malej, drobnej uwagi: „Posag pożądany”, — bo to, uważa pan, miłość miłością, a żyć z często trzeba... Dla kobiety małżeństwo jest zawsze dobrym interesem... Czemu pan tak na mnie patrzy jakna psa?

Ja jednak rozemiałem się nagłos: ten człowiek ma poczucie humoru! Cała ta odezwa i tak jest ponuryndowcipem, który jedni przyjmą z niesmakiem, a drudzy ze śmiechem; więc i ja zacząłem śmiać się szeroko. Ta zaś pokraczna imitacja człowieka, widząc mój dobry humor, rzekła:

— Ja już i tak jedno uczyniłem ustępstwo, chciałem bowiem z początku wyłączyć z pomiędzy kandydatek blondynki z tego powodu, że jest to barwa włosów najłatwiejsza do podrobienia, ale pomyślałem sobie, że darowanej miłości nie patrzy się we włosy. Dodatek o posagu nie jest jednak niestem edmianem.

— Dość! Dopiszę panu o posagu.

— Będę się modlił za pana!

— Niech pan to robi na własny rachunek, to panu nie zaszkodzi.

Kreatura porwała kartkę papieru i zaczęła mi dziękować gorąco rozbieganym wzrokiem, machaniem rąk, podrygiwaniem garbu i garbatemi dźwiękami.

— Myślę — rzekła — że pan rad będzie ujrzeć swój triumf.

— Jak to pan rozumie?

— Niech mi pan pozwoli, abym przyszedł do

pana, jeśli znajdzie się na świecie kobieta, która mi ofiaruje swoją miłość.

— Niech pan przyjdzie! niech pan natychmiast przyjdzie! — zawołałem serdecznie.

Wszystkiego mogłem się spodziewać, a lenie tego, żebym raz jeszcze w życiu ujrzał tego ludzkiego karakona.

A on przyszedł.

Po upływie dwóch tygodni przydreptał, znowu nastraszył mi służącą i powiada:

— Przychodzę ze sprawozdaniem.

Przetarłemoczyć ze zdumienia, biorąc z jego rąk k spórą paczkę listów.

— Jakto? udało się panu?

— Niezupełnie.

— A te listy?

— Jest ich jedenaście; dziewięć z nich zawiera najprzedniejsze wymyślenia, jeden radzimi, abym się powiesił, co, jak panu wiadomo, było dawno moim zamiarem, jedenasty jest poważny i uczelwy.

Wybrał ze zbioru ten jedenasty i dał mi do przeczytania, co mi się udało z trudnością, bo wierzyć nie chciałem, aby się znalazło na świecie tak słodkie serce kobiece. Jakieś biedactwo pisało, że jest samo na świecie, a brzydota go nie odstrasza; że chce się poświęcić, bo nie może myśleć spokojnie o tem, że ktoś jest tak strasznie nieszczęśliwy. Ma lat trzydzieści, jest kobietą spokojną i prawną; przeszła przez smutki i nieszczęścia; będzie dobrą żoną.

ŠCIGANA SARENKA



Tylko słowik, albo wielki poeta umiałby wyrazić to, co się działo w duszy człowieka w średnim wieku i średniego wzrostu, który z niepospolitym wdziękiem nosił imię Anatol. Jest to imię piękne, chociaż cokolwiek przypomina preparaty chemiczne, imię, które napozór można kupić w aptece, jak Odol, Santol, Klawjol, czynny kosmetyk. Zostało ono jednakże wywyższone pod nieba empirejskie i na czarnej tablicy nieśmiertelności zapisane ognistymi literami przez największego z Anatolów, przez Anatola Francis'a, o czem wiedział i z czego był dumny Anatol, o którym mamy zamiar mówić. Pomiędzy wielkim Anatołem a nim ta nieszczęsna była różnica, że myśli tamtego przypominały czarne kruki zwątpienia, lub purpurowe ptaki ironji, nasz zaś Anatol miał w głowie zajęczki. Tak się popularnie mówi o człowieku, który w zimie szuka kwiatów na umarłym drzewie, słodyczyw złodziejskim occie życia i zgłodniałą duszę ciąglem karni marzeniem. Może dlatego na nadohnej jego twarzy rozlany był smutek, jak czarna kawa na białym obrusie, marzyciele bowiem mają zaróżne oblicza smętne. Tęsknota jest pokarmem niezdrowym,

a marzenie jest dotkliwą chorobą nieszczęsnego małża, tworzącego z boleści perlę, która jest tęczową łzapoetów i warjatów.

Anatol nie był poetą, ani też nie był warjatem, trzeba bowiem być warjatem, aby być poetą, i odwrotnie. Piastował urząd pośredni, nosząc w duszy zadatki na jedną lub drugą godność i uprawiając marzenie z amatorstwa, cokolwiek po dybetancku, jak amator ogrodnik, eo bodujeroże. Nie uniałby słowem pięknem wyrazić swojej tęsknoty, jak poeta, lub rozdzierającym krzykiem, jak jęźmość pomyłony, więc jej pozwalał błąkać się po swojej duszy, jak wiatrowi po rozkwiteconym sadzie, i poddawał się bolesnej jej pieśszczocie. Mowik wyśpiewałby ją jednym trylem, jednak mimo najwyższej sympatji, jaką mamy dla smętnego Anatola, nie możemy dojrzeć w nim najmniejszego podobieństwa do tego miłego ptaszka. Anatol jest człowiekiem doskonale odkarmionym, zażywnym i z niejaką skłonnością do otyłości. Prawdziwi marzyciele mają zawsze dostatek ciała, aby przypominali żagle, nadęte wiatrem tęsknoty; chudzi są zawsze spiskowcy, których myśli są, jak sztylety. Udalo się hyszą tę uwagę uzynić nawet szekspirowi.

Anatol, zatopiony w głębokim fotelu, jak myśliciel w głębokiem zagadnieniu, patrzy, jak dym z papierosa wiję się ponad nim niebieskim, chwiejnym ohłoczkiem; tak samo dymi jego serce tęsknotą, wiotką, jak srebrną mgłą, i nieuchwytną, jak

woń purpurowego kwiatu. I tęsknoty wydzielają z siebie woń; są takie, które pachną, jak tuberozy: to tęsknota za tem, co odeszło i nigdy nie wróci; są takie, które wydają słodką woń krwi: to nieodparte marzenie o purpurowej rozkoszy; są takie, które pachną, jak ciałodziewczące: tej tęsknoty nie trzeba mianować. Można orzec piłomybilo, że tęsknota Anatola tę właśnie, przedziwną miała woń, choć w tej chwili ponieszona była z nieim lym zapachem tytoniowego dymu. Nic jednak nie zdoła zagłuszyć tęsknego wołania miłości. Różni różnie próbowali tego dokazać i odeszli we wtydzie-
litość śpiewa tysiącami głosów, lecz choćby podobalosię jejoznajmie się bzykaniemkomara, więcej z tego będzie harmideru, niż we wtyckłym ryku burzy. Umyślnie na ten temat figlarnych używam zestawień, chcąc przez udaną niefrasobliwość zwiścić własną tęsknotę, aby się nie rozgadała.

Mily, acz nieszczęsny, Anatol cierpiał, pławiąc się równocześnie w słodyczy dosyta. Było mu dobrze na świecie i było mu na nim źle. Niebo dało mu i mieszkanie piękne, i ów fotel wygodny, jak synekura, błogosławiło jego interesom, chociaż w aryjskiejlęgły się głowie, i ozdobiło go obliczem nadobnem, piekło natomiast, chcąc zniszczyć ze starej przekory niebieskie dobrodziejstwa, zasadziło w jego sercu ziarenko miłosnej tęsknoty. I oto jedna kropelka trucizny zatrula beczkę wina: tak czasem ból jednego zęba całego człowieka napelnia bólem, tak jedna kropla niweczy jętkność dzie-

wicy. Ludzie doświadczeniem mądrzy twierdzą uporczywie, że łatwiej jest wykarzczać pszczoł, niż wyrwać z serca małą roślinkę tęsknoty, co podlewana żalnością wyrasta czasem w baobab szaleństwa, drzewo dość potężne, aby udiwignęło stu samobójców i jeszcze jednego wisielca. Czytelnik, który mało wie o baobabie, łatwiej pojmie fatalność miłosego smętku, jeśli mu się powie, że łatwiej szewc od przyłepnej uwolni się smoły, niż nieszczęsne serce człowieka od czarnych myśli o miłości.

Wiedział o tem Anatol zatopiony w marzeniu i w fotelu. Naprzeciwko niego siedziała zgryźliwa samotność, głuchoniema, sama sobą znużona i sennem spojrzeniem patrząca, jak dusza Anatola, wyszedłszy z niego, aniołowi podobna, waży się na obłoku dymu i chwicje się, jak motyl, co nadaremnie szuka kwiatu na piaszczystej pustyni. Gdyby to była dusza śmiała, orłowa, albo jastrzębia, wyleciałaby dawno już na szeroki świat, aby jak w dziarskiej piosence: „skrzydłem orłem, lub sokołem unosić się nad Podolem”, lub w odpowiedniej transkrypcji: „pod chmurami, szybko, żwawo, unosić się nad Warszawą”. Nie taka jednak dusza miała mieszkanie w Anatołu. Człowiek ten cierpiał cierpieniem łagodnem, żalosem i łzawem. Pragnął miłości i bał się pójść na jej zdobycie. Był jaków szeszur Szuszundra z opowieści Kiplinga, strachem napelniony szeszur, co wciąż płakał i nie miał odwagi, aby wyjść na środek komnaty.

Do samotnego człowieka przyjść może z własnego popędu komornik, lub przyjaciel, poszukujący pożyczki, nigdy jednak nie przychodzi kobieta. Może przyszlaby, gdyby wiedziała, że gdzieś czeka serce na miłość, jak spragniona ziemia czeka na deszcz. Skądże ma jednak wiedzieć o tem! Niemądre są ludzkie zwyczaje. Wiccha nad gospodą przechodniom ogłasza, że człowiek spragniony może tutaj wybornie ugasić pragnienie; talerze nad przybytkiem balwierza wołają brzękliwym głosem, że nawet Absalon może tutaj postradać włosy; but nawołuje do odwiedzenia szewca, a uśmiechniona głowa wieprza — do odwiedzenia jego mordercy, rzeźnika. Każdy jakoś daje znać o sobie, tylko miłość tego nie czyni, a przecież wysłarczyłoby wystawić nad drzwiami domu serce z blachy, przyczepione do kija, aby oznajmić, że w tym domu jest ktoś, co czeka z sercem drżącym i pełnem zachwytu. Napis pod sercem: „Stróż wskazuje” — wszelkie wyłączyłoby pomyłki.

Anatol z własnego serca uczyniłby godło, aby, znęcona tym widokiem, weszła w jego dom miłość, a z nią najpiękniejsza z pięknych, urocza przygoda. Wałęsa się oaa po świecie, jak beztroski wiatr, ma radosne oczy i szalone myśli. Wpada nagle w spokój ludzkiego żywota, szary i biedny, i oświetla go rozdzierającym, pysznem, bogatym światłem błyskawicy. W takim oświetleniu piękne jest nawet życie, wlokące się nudnym, oklepanym gościńcem banalności od kołyski do tego wzgórką, który

nazywamy grobem. Przygoda wpada na ten gościnniec, jak zamaskowany rynnantyczny zbójca, porywa jakiegoś biedaka na konia, pędzi z nim przez zaczarowane kraje i wreszcie rzuca go do stóp królewskiej córki, która z okrzykiem: „Ach, jakież to piękny młodzieniec!” — pada omdlała w jego ramiona.

Dość obłąkane byłoby przypuszczenie, że do mieszkanka smętnego Anatola przy ulicy Hożej, nazwanej tak chyba dla tem większej jego boleści, wpadnie na koniu przyjemny zbójca, aby porwać jego i jego rozmarzone serce. A jednak (o, jakże niezgłębiona jest dusza ludzka!) Anatol nieustannie płochą żywił nadzieję, że coś kiedyś zdarzy mu się, że jakaś przygoda, radosna i śliczna w swoim uroczem szaleństwie, przyjdzie po niego, zagada do niego wierszami, ucałuje uśmiechem i tanecznym krokiem zawładnie go na wenecką maskaradę, gdzie widmo, czernią kryte, powie mu słodczą szepu: „Och, Anaton!” Dłuższego przemówienia nie żąda, bo cudowne szaleństwa gardzą słowami, śpiewając jedynie szumem krwi.

Na ulicach zapalano właśnie latarnie, gromniące spracowanego dnia wielkiego miasta. Setki tysięcy ludzi plei obojga odetchnie po ciężkim trudzie i, nałożywszy uśmiech na twarz, przez ciąg dnia poważną, pójdzie szukać przygody. Wieczór je obmyśla, noc je ucieleśnia, a kiedyś jakiś dzień zapłaci alimenty, wedle dawnego i naturalnego porządku rzeczy.

Anatol spojrział na piękny, złoty zegarek, tykający obok na stoliku; było po siódmej. Za jakąś godzinę pójdzie smętnym krokiem i, dźwigając ciężar myśli, będzie się wałęsał ulicami; samotny, zje befszytk, krwawy, jak jego serce, westchnie boleśnie, powróci do domu, sp ojrzy niechętnie na jego dostatek, miękki i barwny, i, odbywszy codzienny przegląd nieboszczyków w gazecie, nad ostatnim z serji machnie ręką i ułoży się do snu. Gdańska szafa, p otężna baba w dziewiątym miesiącu ciąży, trzaśnie przeraźliwie, jakby mu chciała powiedzieć: Dobranoc! Nikt więcej.. nikt więcej..

Samotność Anatola miała dnia tego więcej, niż zwykle, posmaku gorzkości, czytał dziś bowiem książkę, w której wszyscy tak się kochali, że każde wniej słowo miało kształt serca, a każdy przecinek był pocałunkiem. Wykrzyknik po ostatniem zwycięstwie oznajmiał ostateczny triumf miłości. Anatol chciał go redrzeć z kartki i jak sztyłem przebrać nim swoje uszyte osierdzenie.

Podniósł się ciężko z legowiska na fotelu, spojrział przez okno w rozświetlony wieczór i zaczął zmieniać wygodę donowego przyodziewku na sztywną elegancję dżentelmana. Zapalił światła i począł wiązać krawat przed lustrem, niezbyt daleki od poważnego zamysłu, aby go zmienił w rzeczywisty stryczek, co jest brzydkiem wprowadzić, lecz dość skutecznym sposobem przerwania nieskończonego pasma udręczeń. O, Anatolu!

W tej chwili zaterkotał w przedpokoju dzwonek, przedziwnie gwałtownie.

Nie od rzeczy bądźniuwaga, że dzwonek udrzwi ma swoją wymowę; człowiek bystry umie poznać, kto dzwoni, imoże ułożyć systemznaków, podobny do alfabetu Morse'a. Wiadomo, że listonosz dzwoni krótko, bezdźwięcznie, zawsze w tej samej tonacji; jest zmęczony, znudzony i naciska guzik dzwonka automatycznie. Kochanka dzwoni cichutko, tajemniczo i bardzokrótko: wie, że jest oczekiwana i że byle szmer wystarczy. Trzeba jednakże mieć ucho bardzowyrobione, aby zabawnej nie ulec pomyłce, tak samo bowiem dzwonią i święte zakonnice, przychodzące po datki na sieroty, pokorna zaś ich nieśmiałość mimowoli naśladuje tajemniczość miłości. Komornik dzwoni opryskliwie, wiedząc, że przychodzi w złej sprawie. Łazik i włóczęga czyni to podstępnie i udaje sposób dzwonięcia przyjaciół: wesoły i radośnie natarczywy. Krewni dzwonią krótko, jadowicie i uderzają nogami o drzwi.

Osoba, dzwoniąca w tej chwili u drzwi Anatola, nie mogła być żadną z tych, które wymieniliśmy bystrze i z wielkim rozsądkiem. Dzwoniła gwałtownie i niemal przeraźliwie, cisnąc dzwonek są gardło. Tak może dzwonić albo rozpacz, albo policja, jeśli nie chce użyć starego systemu i sposobu dzwonięcia listonosza. Tak może wreszcie dzwonić mąż, nieoczekiwanie powracający do domu z zamiarem strzelenia do żony, w której wnętrzu znajduje się zazwyczaj jakiś przerażony młodzieniec.

Ponieważ ani policja, ani zdradzony mąż żadnej z Anatolem nie mogli mieć wspólnej sprawy, jasne jest, że w ten oszalały sposób jedynie jakaś rozpacz mogła go wzywać do natychmiastowego w a d.

Anatol zniecieruchomiał na moment i z niezawiazanym krawatem u szyi wyglądał, jak afisz ma gazynu konfekcji.

— Kto to być może? — zapytał wreszcie sam siebie.

Odpowiedzi nie było, gdyż pytanie było retoryczne i całkowicie zbędne.

— Otwierać! — niecierpliwiał się dzwonek.

Anatol podszedł ku drzwiom i zapytał przeznornie:

— Kto tam?

— Proszę otworzyć!... natychmiast!..

Świat się zakręcił wraz z Anatolem, a ściany pochyliły się nad nim, jak podczas trzęsienia ziemi: dzwonek już zamilkł, a oto dzwonił głosik srebrny i śliczny. Tuż za drzwiami była kobieta.

To głosów zaśpiewało w Anatola, jeden zaś tylko, na świat się wydobywający, oznajmił, że pan jego, Anatol, objęty pożarem szczęścia, jest niezupełnie ubrany i nie wie, czy w tym wypadku...

— To nie! to nie! Otwórzcie!... Na Boga, proszę otworzyć!

Anatol duszę już dawno otwarł naościę, serce otwarł, jak skrzynię cedrową, z kolei przetonagłem szarpnięciem uczynił to samo z drzwiami... Natych-

miał jednak odskoczył, aby uczynić miejsce zjawisku. Śliczna dziewczyna wślizgnęła się przez drzwi, jak promień przez rozdarcie wśród chmur. (Co za porównanie! co za porównanie!).

— Zamknąć! Proszę zamknąć czem prędzej!

Nie mogąc ściśle określić granicy stanów jego ducha, musiał nypowiedzieć zgrubsza, że przez pół był oglupiały, a przez pół szczęśliwy. Żadne jego marzenie nie było tak piękne, jak ta żywa oczywistość, która w tej chwili oparła się o ścianę przed progiem i ręką prynciskala szybko podnoszącą się pierś; otwartymi ustami chwytala powietrze, nie mogąc zaś wskutek nadmiernego podniecenia wyśmówić słowa, przemawiała drugą ręką, dając Anatolowi znaki, aby milczał. I bez tego wezwania Anatol uie mógłby wyrazić zdumionej swojej szczęśliwości, duch jego bowiem, zazwyczaj roztropny, otrzymał takie uderzenie w centra mowy, że nie mógł ani jednego wydać na świat dźwięku. Jedynie myśli jego, jak wystrażałem spłoszone ptaki, kołowały ponad nim w obłąkanym locie, wydając okrzyki podziwu i zdumienia. W duszy Anatola zerwała się burza, a błyskawice darty niebo jego świadomości. Nie można skrottniej wyrazić rozblysku burzliwego jego szczęścia.

— Niech pan nikogo nie wpuszcza! — szepnęła dziewczyna, odryskując głos.

Mówiła „dziewica”, nie mając najmniejszej pewności co do prawd żywego stanu rzeczy, jednakże piękne to i rzadkie słowo jest najodpowiedniej-

sze w sytuacjach tajemniczych, w romansach zaś Fenimore'a Coopera i Waltera Scotta było niezmienną rangą bohaterki: starsze kobiety mordowały Indianie w antecedenencji, lub w pierwszym rozdziale romansu, na widowni zaś były same Indianie i tak być powinny.

Anatol zaryglował drzwi, przekręcił klucz, założył łańcuch bezpieczeństwa, chcąc zaś okazać wspaniałą gorliwość, podparł je sobą. Oczyma zapytał dziewczycy, co ma czynić w dalszym ciągu.

— Cicho! — rozkazała ona przejmującym szep-tem i położyła palec na ustach.

Anatol wstrzymał oddech w piersi i nakazał ciszę łopoczącemu sercu; z a drzwiami przez czas dłuższy nie było słychać nawet szmeru, nagle jednak przeraźliwy tupot zaczął biec po kamiennych schodach. Ktoś gonił po nich, przystanął przy drzwiach na niższym piętrze, poczem przy drzwiach Anatola, ktoś krzyknął zduszonym głosem, pobiegł na wyższe piętro i ostatnie, po chwili z równym pośpiechem wrócił, znowu przystanął przy drzwiach Anatola i zadzwonił.

Anatol drgnął i spojrzął na dziewczycę. Dziewica zachwiała się i zaczęła dawać znaki, aby zachować najgłębsze milczenie. Dzwonek werwał raz jeszcze zgromadzonych do otwarcia drzwi, ponieważ jednak powzięli od niezłomny zamiar nieodpowiadania na żadne odgłosy, ten ktoś za drzwiami zaklął głośno i szpetnie, poczem szybko zbiegł ze schodów.

Dziewica wydała westchnienie wielkiej ulgi; był to różowy oddech poranku, wydany z radości, że noc ponura przeminęła. Anatol, biorąc żywy udział w jakimś nieznanem mu nieszczęściu, ~~wier~~ żał, że należy westchnąć w busach, jeśli ktoś wdycha we wzięcinie, więc uczynił to szczerze i dziwne ~~sardotznie~~.

Spojrzało na niego dwoje oczu takich błękitnych, jak niebo po deszczu. Wzmianka o deszczu może stąd pochodzi, że na tych oczach były ślady łez, które już spłynęły, lecz zostawiły rzewne posobie wspomnienie, ledwie widoczną wilgotność, która spojrzenie oczu sarny czył smutnem, a zarazem pełnem słodyczy. Anatol zadrżał, widząc to spojrzenie, które bez słów dziękowało mu za pomoc. Wzruszył się tak bardzo, że chciał paść na kolana i z kolei temu prześlizcznemu podziękować stworzeniu, że w swojej tajemniczej tragedji jego wybrało na rycerza. Rozumiał, że ktoś gonil to słodkie biedactwo, aono, piskłę niewinne, pod jego ukryto się skrzydła. Był szczęśliwy i dumny, chociaż w niechęci.

— Ja już odejdę.. — szepnęła dziewczyna

— Nie jeszcze! — szepnął Anatol, lecz z taką nagłą rozpaczą, że szepł ten był raczej rykiem lwa.

— Wiesz...

Dzika energia zbudziła się w Anatonu i wytrysnęła z niego fontanną, jak gorące opary z podrażnionego gejzeru. Przez lat czterdzięci czekał na

taką przygodę i tak się miała skończyć? Rajski ptak wleciał do jego królestwa (!), i onna pozwolić, aby odleciał?!

— Pani nie może odejść! — rzekł z mocą.

— Muszę... — powtórzyła ona takim szeptem, jakim rozmawiają kwiaty z wiatrem wieczornym.

— Niech pani odpocznie... Pani jest zadyszana... Niech panj raczy wejść...

Dziewica nakryła oczy powiekami i milczała przez chwilę, jakgdyby rozmawiając z duszą i pytając ją o radę. Dusza, jak rozumna matka, musiała dać jej swoje przyzwolenie na tak wielką lekkomyślność, jak dłuższe obcowanie sam na sam z człowiekiem, który ma pożar w oczach i co więcej! — nosi imię Anatola, — gdyż dziewczyna spojrzała mu wprost w oczy, patrzyła w nie spojrzeniem przeciągłym, a ujrzawszy w nich rycerskość, rzekła krótko:

— Dobrze!

Chóry anielskie zawiodły pieśń nad Anatółem, a Anatół zawiódł dziewczę do swojej świątyni dumagii.

— Niech pan czem prędzej zgasi światło!

Anatół uczynił to posłusznie, lecz z uwagą, pełną niewysłowionej galanterji:

— Nie będę widział pani...

Ona musiała uśmiechnąć się w ciemności (i może przez łzy, ha! któż to wie?) i rzekła:

— Boję się, że pan może posądza o pomieszczenie zmysłów...

— Jeśli kto z nas dwojga stracił zmysły — odrzekł Anatol ze śmiertelną powagą — to w każdym razie nie pani!

Wobec ograniczonej ilości osób, znajdujących się na romantycznej scenie, adres tego pięknego powiedzenia był niewątpliwy.

— Ja panu wszystko wyjaśnię — mówiła ona. — Najpierw wyjaśnię, a potem podziękuję... Pan mi ocalał życie...

— Życie! — zdumiał się Anatol.

— Tak... Niech pan ostrożnie podejdzie do okna.

Wzięła go za rękę (Anatol zadrżał), i pociągnęła ku oknu. Latarnia uliczna pobielila ich białem, bezbarwnem światłem, zamieniając ich w doskonałą dobraną parę duchów, co, trzymając się za ręce, jak Franciszka i Paolo, wioną za chwilę w powietrzu, słodkonarzekaając.

— Ach! — krzyknęła zdaszonym jękiem.

— Co się pani stało, mój Boże! Co się stało?

— On tam stoi!

— Gdzie? Który?

— Tam... tam... naprzeciwko...

Anatol spojrział bystrze i ujrzał pod latarnią młodzieńca, wytwornie odzianego, który nerwowo zadzierając przystojną głowę, pilnie przyglądał się obskurnemu, liszajowatemu domowi, jak niecierpliwym trysta, co ogląda dostojny zabytek.

— Kto to jest? — zapytał ponuro.

Słowa jego były pokropione nicnawością, jak

gryzącym płynem, które mi zazdrosne kucharki oblewają sobie fizjonomję, aby znaczyć nadnaturalną i zw odniczącą piękność.

Dziewica nie odpowiadała, zajęta połykaniem leś; kiedy udała się jej ta operacja, przytuliła się do Anatola (Anatol zadział po raz drugi, tylko mocniej) — jak bezbronne dziecko, a z tego bliskiego zetknięcia się narodził się nagły okrzyk rozpaczy:

— On ma rewolwer!

Na spokojnym Anatolu oznajmił: niemo wielkie uczyniło wrażenie. Zadał jej pytanie dość męty nie i szwaga:

— Pocił on ma ten rewolwer?

— Aby mnie zabić!

Grosz załomotał w cichem ustroniu przy ulicy Hożej.

— Zabić?... panią? — zdumiał się Anatol, ale wyraził swoje zdumienie jedynie w drugiem słowie zapytania, dopuszczając w zasadzie możliwość zabójstwa, ale nie mogąc pojąć, aby jego przedmiotem byłoby śliczne stworzenie.

— Tak! — zapłakał szepł.

— To on panią ścigał?

— Tak... On...

— Czemu?

— To długa historia... Czy on nas może widzieć?

— Nie, w żaden sposób...

— Uciekłam przed nim i wpadłam do pa na...

— Jestem szczęśliwy... ale niech pani patrzy...
Ta kreatura odchodzi!

— Och, daj to Boże! Jakie to szczęście, że ja nie
wyszedłem, a właściwie, że pan mnie zatrzymał. Czemu
ja się panu odwdzięczę?

— Jednym spojrzeniem! — zakrzyknął Anatol.

— Pan jest najlepszym człowiekiem na świecie!

— Och, nie! — wzruszonym głosem rzekł Ana-
tol — każdy na mojem miejscu uczyniłby to samo.

— O, niekażdy! Skąd pan mógł wiedzieć, że
nie jestem ródziejką, którą ściga policja?

Anatol ukazał w uśmiechu dwadzieścia cztery
zęby uciążliwe, siedem złotych i jeden porcelanowy.
Gdyby można było ujrzeć jego serce, możnaby
ujrzeć też i serce rozemłane. Spojrzał z rozczule-
niem na tę ściganą sarenkę z wilgotnemi oczyma,
bladą w bladeści światła, drżącą, śliczną i wpatro-
ną w niego ze słodyczą ufności.

— Teraz niech pani spocznie — mówił miękko,
jak do dziecka. — Może się pani pokrzepi kielis-
czką wina?

— Czy mogę prosić owoce?

— Najlepiej wina z wodą. Czy dobrze?

— Pan jest strasznie kochany!

Anatol ujrzał niebo, a w niebie na różowym
obłoku swoją osobę, trzymającą w ramionach to
zjawisko. Chciał śpiewać, chciał tańczyć, więc lek-
kim, pływającym krokiem pobiegł do przyległego
pokoju; tam szybko uzupełnił zaniedbanie w stro-
ju, poczem przyrządził pokrzepiający napój.

Sarenka zapaliła tymczasem światło i ciekawym wzrokiem obejrzała piękny gabinet Anatola; lekko-myślna, młodzieńcza ciekawość zawiodła ją na krótką chwilę nawet do sypialni Anatola, gdzie się unosił słodki zapach pomady i różany zapach jego snów. Wróciła jednak stamtąd szybko, jakby spłoniona i przełęka widokiem jego łoża, smutnego, bo bez pary. Uśmiechnęła się tkliwie, nasłuchując, jak Anatol nuci w sąsiednim pokoju. Nawet syfon, zazwyczaj z syczącą irytacją wypuszczający z siebie strugę solowej wody, uczynił to dziś łagodniej, wesobo mrucząc. Korek radośnie wyskoczył z butelki, kieliszki dźwięknęły najczyściej dźwiękiem.

Anatol wkroczył triumfalnie z tacą w ręku i ze słodyczem w oczach.

Dziewica spojrzała na niego tem spojrzeniem rozczulającym, którem w pierwszych dniach własny spogląda słońce na ziemię, i dlatego topnieją śniegi. W Anatołu już dawnowiosna zakwitła, a to spojrzenie dokonało reszty, jeśli było jeszcze cokolwiek do dokonania. Po trzykroć szczęśliwy i po siedemkroć radosny, nie zauważył, bo już nie mógł zauważyć, że elegancja panienki była cokolwiek znoszona i tandetna; gdyby mógł nawet zdać sobie z tego sprawę, rozumowałby słusznie, że cnota rzadkoodziewa się w gronostaje, sama, jako ten gronostaj, nieskazitelna. Gdyby mu nawet kto rozsądny powiedział, że pełne światło, nielitościwy sędzia śledczy, odkryło w nadobnej twarzy czec odrobinę chytróci, przeblyskującej w spojrzeniu,

Anatol zamordowałby go uderzeniem butelki wybornego wina Porto, będącego ulubionym napojem dworu i arystokracji. Tabowiem pomiędzy tą pannienką a aniołem Jakubowym różną była różnica, że anioł ze snu patriarchy Jakóba schodził z góry na dół po stopniach drabiny, ona zaś przyszła tu z dołu na górę, po stopniach schodów.

Wzięła z wdziękiem z ręki patriarchy Anatola kieliszek wina i umoczyła w nim usta, on zaś pilnie uważał, w którym miejscu zetknęły się jej wargi ze szczęśliwym szkłem, aby go tam dotknąć później pragnącemi ustami. Usiadł naprzeciwko niej i uśmiechał się, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę.

— Czy pani już się nie boi? — zapytał wreszcie.

— Przy panu nikogo się nie boję!

— A przedtem, czy się pani bardzo bała?

— Śmiertelnie!

— Czy on panią chciał zabić?

— Tak!

Słowo to bzyknęło jak kula tuż przy uchu Anatola.

Chciał zapytać wedle naturalnego porządku rzeczy: — „Czy to pani kochanek?” — czem prędkiej jednak wielkim krzykiem zawrócił te słowa, jak gromadkę glu pich baranów do obory, w której się wylęgły, a głosem bardzo cichym i wzruszonym tonem zadał pytanie:

— Czy... czy to... miłość?

— Tak!

To drugie „tak” bietylko bzyknęło, jak kula, lecz

ugodziło go wprost w serce, tak, że aż wtył się pochylil. Z niechętuem zdumieniem spostrzegł po chwili, że jeszcze żyje i musiał jednak mieć w twarzy coś z nieboszczyka, bo panienska rzekła z niepokojem:

— Czy panu słabo?

— Nic... nie!.. wcale i ninie słabo.. Więc to miłość..?

— Tak, miłość, ale nie z mojej strony.

Umarła nadzieja otworła jedno oko i nieprzytomnym wzrokiem spojrziała na Anatola.

— ..Lepiej będzie, jeśli panu wszystko opowiem..

— Jeśli to tajemnica, albo jakaś sprawa dla pani bolesna, niech pani nie mówi!

— Muszę powiedzieć. Pan mnie ocalil, wtargnęłam do pańskiego domu, powinnam się wytłumaczyć.

— Ja tego nie żądam.

— Ale ja proszę, aby mnie pan wysłuchał. Pan jest tak kanielsko dobry..

— Wcale uie jestem dobry!

— O, proszę pana, ja uniem patrzeć. Jak panu na imię?

— Anatol..

— Wielki Boże!

— Co takiego? co się pani stało?

— Mój ojciec też miał na imię Anatol!

On skłonił z szacunkiem głowę wobec starszego Anatola i zawahał się młotko:

— Powiedziała pani, że się „nazywał”, czy już nie żyje?

— Niestety, dawno już nie żyje. Ja jestem zupełna sierota.

Anatol pokiwał smutno głową, co miało oznaczać, że czas krzywdzi wszystko i wszystkich.

— Biedactwo... — dodał z wielką tkliwością.

— Mój ojciec — rzekła z dumą sarenka — był bardzo wysokim dygnitarzem, a matka była baronówną. Zostałam sama jedna na świecie i pracowałam w biurze. Dzisiaj właśnie byłam tam po raz ostatni...

— Czemu ostatni?

— Bo moja ciotka, też z domu baronówna, dowiedziała się o mojej biedzie i wzywa mnie do siebie na wieś. Byłabym już pojechała dawno, aleniem miałam dość pieniędzy na podróż.

— Och! — westchnął Anatol.

— Udalałabym się jednak w drogę piechotą nawet, byleucie.

— Uciec. Ach! przed nim?

— Tak, przed nim...

— K to to jest?

— To jest sekretarz jakiegoś poselstwa, tylko niewiem jakiego. On jest księciem.

— Jakto? Księżę i z rewolwerem biega poschodach?

— To strasznie gwałtowny człowiek. Oświadczył, że za bje mnie i siebie, jeśli za niego nie wyjdę.

— A pani?

— Ja, proszę pana, nigdybym nie wyszła za cudziemnie!

— Doskonale!

— I nie wyszłabym za takiego, co myśli, że skoro on jest bogaty, to każda kobieta może do niego należeć.

Anatol zlekka zgrzytnął zębami

— Czy prześladował panią?

— Czy prześladował? Nie miałam chwili spokoju, gdyż chodził za mną, jak cień. Przysyłał mi kwiaty i cukierki, i brylanty...

— A pani?

— A jako wszystkowon!

Anatol w wielkiem podnieceniu chwycił lapczy wie treść, mało zważając na formę, nie zauważył przeto zdecydowanego jej oburzenia, używającego w rozgoryczeniu wykrzykników niepospolicie pospolitych.

— Więc go pani nie kochała? — zapytał

— Jak pan może na węg myśleć o czemś takim! Nie kochałam jeszcze nigdy nikogo, a jeślibym już musiała kogoś pokochać, to nie jakiegoś Gruzina, czy Turka, tylko kogoś swego.

Anatol klasnął w rękę i skierowanym ku górze wzrokiem dziękował niebu, że tej błękitnej duszy dało tyle hartu i wewnętrznej mocy.

— Gdybym kogoś pokochała — mówiła ona, jakby marząc — musiałby to być nie firecyk, ani pa

niczyk, lecz ktoś starszy, co umie kobietę uszanować, i ktoś stateczny.

Anatol zauważył ze szczęśliwym zdumieniem, że mówiące to, hacznie przygląda się jemu, który jest najwyraźniej starszy i stateczny. Serce drgnęło w nim, nagłą falą krwi uderzone. Rozszerzyły się ściany w jakąś dalekość, bardzo słoneczną i rozkwieconą, jak płótno w kinematografie, kiedy pokazują ostatnią scenę wruszającej historii, a napis powiada: „...I nadszedł wreszcie dzień...” Potem dwoje kochanków, którzy się długo szukali, całuje się, a kwiaty padają na nich deszczem puchu. Ha!

Sarenka patrzyła pilnie na ten wesoło rzewny kinematograf, który się odhywał w Anatola, i uśmiechnęła się cokołwiek dziwnie.

Anatol, powróciwszy z krótkiej wycieczki do raj-u, zapytał:

— Więc on za to chciał panią zabić?

— Tak. Nie wiem, skąd dowiedział się, że wyjeżdżam, i żądał dzisiaj koniecznie odpowiedzi; zaczął mi grozić rewolwerem, więc ucieklam, jak szalona. Wpadłam do pierwszej bramy i ukryłam się na schodach, a paniewski biegł za mną, zadzwoniłam do pana. Teraz to pan już wszystko wie.

— Tak, wszystko już wiem.

— Prócz tego — dodała z rzewnym uśmiechem panienska — że jest pan strasznie kochany i dobry.

— Pani jest pierwsza, która mi to mówi — rzekł Anatol z podnieconym humorem.

— Ale ja już muszę iść!

— Dokąd?

— Do domu, a jutro o świcie wyjadę.

Podniosła się z fotela, Anatol również. Począł trzeć czoło i przedziwne stroić miny; wreszcie, obławszy oblicze ramieniem, rzekł niekmiato:

— Ja mam wielką do pani prośbę.

— Czy mogłabym pana czegokolwiek odmówić?

— Tylko że mi to trudno powiedzieć... Otóż widzi pani... Paniraczy by powiedzieć, że jest w trudnej sytuacji...

— Ach!

— Otóż właśnie... Ja mam, a pani narazie nie ma.

— Co pan chce powiedzieć?

— Na Boga, niech się pani nie obraża... Jesteśmy związani dziwną przygodą... Jestem czemś w rodzaju pani opiekuna... Jakby to powiedzieć?... Pani mi kiedyś przecie odda...

— Pieniądze?!

— Niech się pani nie gniewa.

— Nie można się gniewać, jeśli ktoś jest taki cudownie dobry, ale ja nie mogę przyjąć od pana pieniędzy...

— Pani mi odda!

— Ale kiedy?

— Wszystko jedno, za rok, czy za dziesięć lat...

Spojrzał takserdecznie znowy Anatol, że paniencie coś się w oczach zaszklilo; potem wziął w swoje drżące dłonie jej drobne ręce i zaczął je namiętnie całować.

Panienka w nagłym zdumieniu chciała wyrwać rękę, lecz, potem, jakby słabnąc, poddała się nieoczekiwanej piśszczocie. Twarz jej pobladła, a spojrzenie omdlało. Ten sam bystry człowiek, który mógł przedtem odkryć w jej spojrzeniu błyski chytrości, zauważyłby z głęboką słuszością, że patrzyła w tej chwili szczerze i jasno, jak ktoś bardzo szczęśliwy.

— Niech pan tego nie robi — powiedziała cicho — ja nie jestem tego warta...

Anatol miał zgola sprzeczny pogląd na tę sprawę, i tylko wrodzonym jego taktowi zawdzięczać należy umiarkowanie w całującym entuzjazmie.

Podbiegł do biurka, wydobyl z jego zachlannej czełusci zwitek banknotów i dyskretnie wytwornym ruchem wcisnął je w rękę panienki.

— To drobiazg, to drobiazg... — mówił wzruszonym szeptem.

Panienka wodziła za nim oczyma, dziwnie poważna. W pewnej chwili zmarszczyła piękne czoło i przytknęła oczy, jakktoś, co głęboko i uparczywie nad czemś rozmyśla. Potem uścisłym głosem, jakim przemawia wzruszenie, rzekła:

— Jest pan uczciwym i dobrym człowiekiem...

— Ech! — machnął ręką Anatol, wesoły jak szczygiel.

— Ale ja nie warta jestem jednego pańskiego spojrzenia...

— Proszę nie mówić niemądrych rzeczy, bo będę odrazu bardzo zły!

— Pan nie potrafi być zły... Teraz ja pana o eos poproszę—

— Choćby o życie! — wykrzyk nął Ana tol zapalczywie.

Pauienka uśmiechnęła się, ale jakoś bardzo smutno.

— Niech pan żyje jak najdłużej. Ja chcę pana prosić, abypan przede wszystkim zapomniało tem, co ja panu naopowiadałam... Mój ojciec nie używał się Ana tol, a reszta tożę łgarstwo.

— Jaki zastanowiłem — rzekł zdziewiony Ana tol. — Nikt niczego nie dowie się nigdy.

— Ale to nie wszystko... Niech pan wyjrzy na schody, czy tego draba tam niema?

— Czy zaraz?

— Jak najprędzej!

— Czy pani się boi?

— Nie!

Zdumienie coraz większe ogarniało dobrego Anatola, jak fala, zdaleka bieg nęca. Nie śpiesząc się, poszedł do przedpokoju, powoli, ostrożnie otworzył drzwi i zaczął bacznie nasłuchiwać.

Zaledwie wyszedł z pokoju, sarenka wydobyła z za gorsu oprawną w złoto minję turę, ukochanie Anatola, z tomiki złoty jego zegarek, szpilkę z perłą i jednym cichym skokiem, znalazłszy się w sypialni, ułożyła to wszystko na nocnym stoliku.

Kiedy Anatol powrócił, ujrzał w jej oczach wielką radość i — zastmucił się.

— Nierna nikogo! — rzekł.

— Bogu dzięki, wszystko skończyło się szczęśliwie. Już mogę odejść.

— Czy ja pani nigdy już nie zobaczę?

— Zobaczysz mnie pan... Kiedy mi będzie bardzo źle, przyjdę do pana... Zresztą muszę przyjść, aby panu oddać pieniądze...

Podeszła blisko ku niemu, uśmiechnięta już i szczęśliwa, zbliżyła twarzyczkę ku jego szlachetnej gębce, tak, że poczuł jej oddech.

— O, jaki pan jest kochany! — zawołała nagle i, objawszy ramieniem oszalała z nadmiernego szczęścia głowę Anatola, ucałowała go w usta.

Anatol chwycił się za serce, które w nierozumnym szale chciało wyskoczyć z jego piersi na zimną i szarą ziemię.

— O, Boże! — zakrzyknął głosem nie z tego świata.

Sarenka, śmiejąc się, biegła ku drzwicom.

Wtedy Anatol zawołał:

— Jeszcze chwilę!... Pani zabrała mi...

W nią, jakby piorun trzasnął. Zatrzymała się, jak nieszczęsna żona Lota, a twarz jej splonęła runołącym.

— Co? — zapytała niemal z jękiem, dotykając ręką pustej torebki.

— Serce! — zakrzyknął on potężnie.

miejscie naprzeciwko panienki, patrzącej uporczywie w okno z dość wyraźnym zamiarem okazania natręctwa, że widok kozy, paszącej się w przydrożnym rowie, jest czasem stokroć miłszy od widoku człowieka, który w ostatniej chwili wskakuje do pociągu.

Młody człowiek uśmiechał się bezustannie, rad, widzieć, z tego, że ma się jednak udało nie pozostać na stacji. Jest to radość dość zrozumiała, nie tak jednak głęboka, aby się nią dzielić z bliźnimi, co młodzieniec uczynił nieopatrznie, przystrojąc w przód każde słowo przyjemnym uśmiechem, jak kwiatkowi.

— Omal się nie spóźniłem..

. Ponieważ trudno było przypuścić, że z tą radosną przemową zwraca się do własnej walizki, przelo panienka, jako jedyna prócz niego istota w przedziale, zdolna do zrozumienia ludzkiej mowy, osądziła słusznie, że młodzieniec zwraca się wprost do niej. Z miną obrażonej królowej, do której miał przemówić — niepytany — jej pokojowca, spojrzała na niego spojrzeniem, na które z braku lodu możnaby przechowywać masło lub ryby przez dwa co najmniej tygodnie. Człowiek wrażliwy, stateczny i rozumiejący wymowę spojrzeń, byłby bez żadnych rozważań zamienił się w słup soli, lub co najmniej zamilknął na sześć godzin. Lekkomysłny młodzieniec, wskakujący do pociągu podczas biega, nie był — widzieć — zdolny

do zrozumienia ostrego wyrzutu; jak tartacz, osłonił twarz uśmiechem i rzekł wesoło:

— Zdaje mi się, że przeszkadzam pani...

Panienska zamieniła po raz drugi piękne oczy w dwie okruszyny ludu, ujrzawszy jednak rozpromienione niebieskie spojrzenie i uśmiech, błękający się dokoła czerwonych ust, zimną swoją niechęć zamknęła w jednym tylko słowie:

— Bynajmniej...

— Dziękuję pani! — odrzekły jej wesoło oczy, usta i culy młodzieniec.

Pociąg wystukiwał rytmy po szynach, jak tępy, z żelaznym łbem uczniak wystukuje heksametry. Panienska patrzyła w okno, w letni, żytni dzień, co po polach leniwo się wałęsał, młodzieniec patrzył na panienską i najwyraźniej widział w niej, wcale bujną i rozkwitającą, chociaż w tej chwili pełną ~~urojonej~~ podmuchu. Wreszcie paniensce znudziła się ~~obcyta~~ panorama, przeniosła więc wzrok na ~~prawy~~ przed, oznajmiający, że za pociągnięciem żelaznej rączki w lewo będzie ciepło, a za przesunięciem jej w prawobędzierzumno. Dowcipne to urządzenie nie było jednak aż tak bardzo dowcipne, aby mu się dziś ~~owd~~ przez cały czas podróży, przeto, pojawiając jego tajemnicę, panienska obejrzała wytworną walizkę młodzieńca, dla której też cieplejszego nie znalazła spojrzenia, jego płaszcz i kapelusz, które obdarowała ironiczną uwagą: „Pewnie niezapłacone!”, wreszcie zaczęła pilnie oglądać końce swoich pantofelków, z nich dopiero po dłuż-

szej chwili przeniosła ostrożne spojrzenie na buty płci męskiej. Ponieważ ze stanu i kształtu obuwia Sherlock Holmes jedynie umiał odgadnąć wielki charakter i duszę właściciela, panienska patrzyła w czarną tajemnicę, związaną sznurowadłem, i nie odgadła nic więcej ponadto, że w butach tych tkwią nogi. Czowała natomiast, że w tym czasie młodzieniec obejrzał ją dokładnie i, przenosząc jej widok ponad widok mazowieckiej równiny, nie odejmuje od niej spojrzenia. Według rozsądnego jej rozumowania byłby głupi, gdyby tego nie czynił jest jednak bezczelny, że to czyni. O tem pierwszem należy zamilczeć, o tem drugim jednakże należy mu powiedzieć spojrzeniem, pełnem zdumionej pogardy. W tym celu przeniosła wzrok z jegoobuwia na jego twarz, aby po oznajmieniu oczyma tego, co miała zamiar oznajmić, dostrzeć znów do kartów, jasno mu tem dając do poznania, że biegun północny jegoosoby jest dla niej tak samo zajmujący, jak i południowy. Kiedy jednak spojrziała w jego oczy, dostrzegła taki zachwyt, usłyszała w jego wzroku taki okrzyk radości, że ją ogarnął niepokój. Szybko przeniosła wzrok na pola, chwytając z widoku macierzystej ziemi zaczepnąc się o obronę przed tą zachwyconą niebieskością spojrzenia. Przelatująca wrona, czarny kleks na słoneczności dnia, przypominała jej, że należy patrzeć czarno nato, co jest zbyt niebieskie i zbyt uśmiechnięte. Tak rozumnie i w czas ostrzeżenia, przelotnie, lecz już śmieiej, musnęła spojrzeniem wytworną

młodzieńczą postać, która poruszyła się niespokojnie, jakby szukając najbardziej kwiatnych słów w „grodzie swego zachwycenia.

Młodzian musiał je znaleźć, gdyż rzekł niezmiernie kwieciste:

— Czy pani daleko jedzie?

— Daleka.. — odrzekła po namyśle, ale bez gniewu i trwogi.

— Och, to dalej jeszcze niż ja!

— A pan.. pannedokąd?

— Narazie do raju.

Panienska wyduła usta, co w języku międzynarodowym oznacza, że jeśli to miał być dowcip, to wcale głupi, a jeśli komplement, to płaski, jak pierś chłopczycy.

— Pościł panu w tak narazie walizka? — rzekła z politowaniem.

— Mam w niej anielskie skrzydła — zaśmiał się młodzieniec.

— Miły chłopiec, przystojny chłopiec, ale bałwan — pomyślała panienska z odrobiną sympatji.

Sympatja musi wydzielać z siebie leciutką woń kwiatu, gdyż młodzieniec poczuł ją natychmiast, przeto pokazał białe zęby w szerokim uśmiechu.

— Pani pozwoli, że się przedstawię — rzekł, powstając.

— Broń Boże! — zawołała panienska.

Młodzieniec ukrył czem prędzej zęby, szerzej natomiast otworzył oczy, co na scenie i w kinematografie oznacza zdziwienie nagłe i niespodziewane.

— Jest pan bardzo uprzejmy — dodała szybko paniśka — ale niech mi pan nie mówi sw^{ego} nazwiska.

— Czy wolno wiedzieć, dlaczego?

— Bo ja wtedy powinnam panu powiedzieć swoje, a ja... a ja... tego nie uczynię.

— Nazywa się Apolonja Rozporek — pomyślał młodzieniec, a głośno powiedział: — Bardzo słusznie. Czy jednak możemy rozmawiać incognito?

— Rozmawiać zawsze wolno.

— Znajomym byłoby łatwiej.

— Dlaczego? Pan nie wie nic o mnie, ja nie wiem nic o panu, a wzajemna wymiana nazwisk leżby niewiele pomogła. Pociąg nie jest salonem, a za dwie godziny pożegnamy się uprzejmie.

— Bardzo to pani roztropnie wywiodła. Czy pani jest mężatką?

— Nie wiem.

— Czasem kobieta (stotnie nie wie, czy ma męża, zdarza się jednak, że zdaje sobie z tego sprawę. Ja na ten przykład wiem, że nie mam żony. Czy pani nie ma przypadkiem obrączki?

— Proszę spojrzeć, nie mam.

— To niczego nie dowodzi. Ten symbol małżeński jest mało dowcipny, gdyż go można każdej chwili usunąć. Jacyś murzyni są sprytniejsi i wybijają mężatkom w dniu wesela dwa przednie zęby.

— Dziękuję panu.

— Jest to, oczywiście, nieco zbyt jaskrawy sposób oznajmiania całej Afryce, że kobieta nie jest

już wolna, możnaby jednak w jakiś sposób utrwalić znak małżeński.

— Naprzykład?

— Naprzykład przez tatuowanie; małżonkowie powinni mieć na palcach obrączkę wytatuowaną, aby jej nigdy zdjąć nie można.

— A w razie rozwodu?

— W razie rozwodu? Zaraz... co należałoby zrobić w razie rozwodu... Mam! Trzeba by odciąć palec.

— Pan jest bardzo wesoły — zaśmiała się paniienka.

— Ze śmiechu pani poznaję, że pani jest panienką. Mężatka oburzyłaby się, rozwódka cisnęłaby walizką w moją głowę, rozwódka trzykrotna uciekłaby z krzykiem. Miło mi, że pani jest panną.

— Nie wiem, dlaczego jest panu miło...

— Bo pani jest śliczną panną!

Paniienka ukryła się za rumieńcem, jak głodziec za niebieskim obłokiem.

— Może pańswoje sądy zachowa dla siebie.

— Nie mogę! Nawet więcej pani powiem.

— Proszę przestać!

— Zaraz, tylko dokończę. Oto bardzo jest źle, że z pociągu nie można zatelegrafować do Ojca świętego nmięj więcęjtak: „Ojczę święty... W pociągu śliczna paniienka. to p Chcę się żenić. to p Proszę dyspensę”. W Człotochowie byłaby już odpowiedź: „Ależ bardzo prozę!” Ślub odbyłby się w szczakowej na stacji, to tam pociąg długo stoi. Czy to nie byłoby piękne? Co panina to?

miała odrobinę serca, otworłaby przynajmniej jedno oko, albo uśmiechnęła się przynajmniej na większych stacjach. Ha! Cóż robić? Wyczerpałem wszystkie pomysły i wyczerpałem całą moją wymowę. Pozostaje mi jedno tylko: wyskoczyć przez okno.

Młodzieniec otworzył gwałtownie okno i, nie bacząc na wyraźny zakaz kolei, zabraniający wychylenia się podczas biegu pociągu, wytknął nieszczęśliwą głowę na świeże powietrze.

— Co pan robi? Czy pan oszalał! — krzyknęła paniśka, chwytając go za polity przyodziewku.

— Nie nadzwyczajnego — odrzekł młodzieniec — sukno śmierci.

— Proszę natychmiast zamknąć okno!

— Czemu?

— Bo... bo... wieje...

— Istotnie, bardzo wieje — rzekł młodzieniec, pośpiesznie zakurzona szybę. — Ale ja sobie znajduję inny rodzaj śmierci. Wyskakiwanie z pociągu jest cokolwiek niepewne, gdyż mógłbym jedynie złamać nogę, a serce cierpiałoby dalej.

— Niech pan zaprzestanie niemądrych żartów!

— Mądre żarty, są to ponure żarty. Ale ja pani przerwałem sen, za co bardzo przepraszam.

— Trudno spać, kiedy obok ktoś głośno bredzi.

— A mnie się zdawało, że mówiłem bardzo cicho. Może to moje serce tak płakało... Ale już nie będzie. Niech pani śpi spokojnie.

— Nie wyskoczy pan przez okno?

— Spróbuję nie wyskakiwać.

— Nie będzie pan gadał?

— Owszem, ale bez słów. Będę cierpiał w milczeniu.

— Niech pan cierpi, jak się panu podoba. Do widzenia!

— Jeszcze jedno!

— Słucham—

— Gdybym się pani przyśnił, niech się pani przez sen uśmiechnie!

Paniénka spojrziała na niego takim spojrzeniem, który przypomina ostry nóż do zarywania drobiu; ułożyła się w kącie, jak kot, a twarz przesłoniła wstążeczką obok płaszczykiem. Młodzieniec patrzył na to wszystko rozanielonym wzrokiem, dość mętnym, aby nie widzieć, że paniénka spogląda na niego ukradkiem przez dziurkę od guzika swego okrycia. Patrzyła w ten sposób bardzo, bardzo długo, coraz to więcej zawiedziona; młodzieniec złożył ręce jak do modlitwy i z trudem zatrzymywał oddech, aby jej nie zbudzić.

— Taki przystojny i taki głupi! — szepnęło dziewięcące serce i usnęło razem ze swoją panią.

Kiedy otworzyła oczy, młodzieniec trwał jeszcze w tej samej nabożnej pozycji, głębokiem wstęchnieniem dając znać, że cierpiał, wstrzymując oddech przez czas dłuższy.

— Gdzie jesteśmy? — spytała paniénka.

— Ja wciąż w raju, a pani przed Krakowem.

— Cóż słyhać w raju?

— Nic nadzwyczajnego, najpiękniejszy anioł spał.

— A pan?

— Modliłem się, leżąc na obłoku.

— Czas zstąpić z nieba. Czy pan wysiadaw Krakowie?

— Chciałbym tam umrzeć, ale nie mogę. Natychmiast jadę dalej, jeśli jednak pani każe, zostań w Krakowie.

— Niech pan jedzie dalej!

— Pani nie będzie żal?

— Nie wiem... Był pan bardzo miły.

— Och!

— Co się stało?

— Proszę pani! Uczyniłem to dla pani, że nie wyskoczyłem przez okno, nie oddechalem, kiedy pani spała, nie dowiedziałem się, kim pani jest, gdzie mieszka i co robi, zakochałem się w pani, omaal że śmiertelnie. Czy to wszystkoprzawda?

— Prawdą jest to tylko, że ja spałam.

— Za chwilę rozejdziemy się i zapewne nie spotkamy się nigdy.

— Z całą pewnością!

— Czy mi się za tonie należy nagroda?

— Pan oszalał!

— Prawie... Droga, śliczna pani! Już widać światła nastacji... Niech pani na wiecznopolężna, nie... niech się pani... pozwoli pocałować!

Młodzieniec szybkim ruchem zbliżył się do pani i wyciągnął ramiona. Panienska krzyknęła

boleśnie, jednym skokiem znalazła się przy oknie i chwyciła ręką za hamulec bezpieczeństwa.

— Jeśli pan zbliży się do mnie, zatrzymam pociąg!

Młodzieniec stał osłupiały i tępym wzrokiem patrzył na jej rumiane, groźne oburzenie.

Paniuszka mówiła zdyszczanym głosem:

— Napastuje pan bezbronną kobietę... Jest pan brutalem... Proszę wyjść!

Młodzieniec ciężko opadł na poduszki; już się nie uśmiechał i był bardzo, bardzo zbiedzony. Wstydział się.

— Jeśli zawoła policję, ładnie będę wyglądał — pomyślał rzewnie.

Paniuszka chwyciła swój płaszcz i walizkę i zmierniała ku wyjściu. Odwróciła się jeszcze w drzwiach i cisnęła w nieszczęsną głowę ostatni kamień:

— Bandyta!

Pociąg wlokł się ostatnim tchem i wreszcie przystanął.

Młodzieniec, srodze zadumany, począł powoli zbierać swój ruchomymajątek. Miał niesmak w duszy, a gorycz w sercu: obraził niewinność. Czekał, aż wszyscy opuszczą pociąg, jakgdyby wstydział się pokazać ludziom.

W tej chwili wszedł do jego przedziału tragarz.

— Tu jest kartka do pana — rzekł.

— Do mnie? Niemożliwe..

— Jedna pani każała oddać..

Młodzieniec rozwinął karteczkę, na której bardzo pośpiesznem piśmem napisała drżąca ręka:

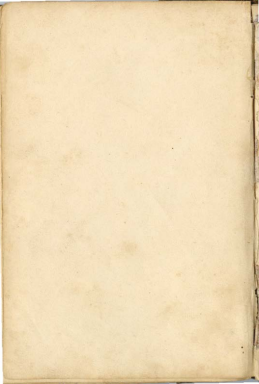
„Księżyzna, który nie ośmieli się pocałować kobiety, choć go ona wszystkimi sposobami do tego ośmiela, jest lichorzem. Szkoda, że pan nie wyskoczył przezokno! Bałwan!”

— Czy panu słabo? — zapytał troskliwie lekarz.

— Nie, przyjacielu — odrzekł młodzieniec — nie jest mi słabo, jest mi tylko głupio.



TAKIE CZASY



Dyrektor wielkiego domu towarowego (śledzie, ryż, sardynki, kawa, sago, meble gięte, bawełna, mąka, kapelusze, wino, asfalt — tylko wagonami) — otworzył ogromną żelazną kasę i spojrział w jej wnętrze. Tak patrzy zbrodniarz w przepaść swego sumienia w godzinę przed powieszeniem, tak patrzy wędrowiec na pustyni w ołchlań wyschłej do cicha studni, tak patrzył Hamlet w grób, świeżo wykopany. Porównania te malują należycie barwę spojrzenia nieszczęśliwego tego człowieka i określają niemal ściśle zawartość kasy. Przypominała ona dość żywo żołądek takiego bęcwała, co czyni z siebie widowisko, głodząc się przez dni trzydziści, albo urzędnika jedenastego stopnia w trzydziestym dniu miesiąca. Natura obawia się próżni, niezniwony zaszczytny wyjątek dla żelaznych kas i naszych żołądków. Aby pustej rozfaczy tej opasłej kasy do zupełnego nie doprowadzać obłądu, dyrektor wielkiego domu towarowego (śledzie, ryż, sardynki, asfalt i t. d.) — zapelniał ją próbkami sago i pustymi pudełkami od papierosów, jakby na znak, że treść zawsze idzie z dymem, a pozostaje tylko opudło, aliastrumna.

Patrzył długo, z rzewną melancholją w czarny brzuch kasy, poczem gwizdnął i machnął ręką, z czego najmniej bystry obserwator pojąłby przy nieznacznym wysiłku dowcipu, że człowiekowi temu jest wszystko jedno. Jest to stan ducha wcale przyjemny, przypominający wakacje, lub powrót do natury w stanie zupełnej nagości. Dlatego pan dyrektor gwizdał i dlatego machał ręką. Żelazny bałwan kasy, wyduęty powietrzem, nie zdradzał żadnych uczuć, znikąd tedy miły ten człowiek nie mógł spodziewać się współczucia; wprawdzie komornik indywidualum wyjątkowo czule posiadające serce, ucisnął mu dzisiaj dłoń, nieznaczną mu to jednak sprawiło ulgę, był zresztą przekonany, że ów Merkuryprawa szuka w ten sposób, wielce chytry, na jego palcach ociałatego pierścionka; byłoby to zbędne, dyrektor bowiem byłby sprzedał nie tylko pierścionek, lecz złote plomby, na niestety jednak zęby miał zdrowe. Do dnia dzisiejszego miał jeszcze nadzieję, która jednak przed godziną z wielkim szlochem powiedziała mu przez telefon, że i ją też djabli wzięli. Odrazu zresztą narodziła się inna, która mu z ręką na bardzo chorowitem sercu oznajmiła, że jeśli przetrzyma przez tydzień, może się cokolwiek uda zrobić „w asfalcie”, bo sago nanie, a meble gięte też psa wartość (trumna jest meblem „stosowanym”). Tydzień... W jaki sposób można przetrzymać tydzień? Powiedział raz Izio Kohn do Pana Boga: „Panie Boże! U Ciebie milion lat, to jedna chwileczka, a milion złotych, to jeden

grosz... Daj mi jeden grosz!"—A Pan Bóg mu ua to: „Panie Kołn, poczekaj panchwileczkę!" Wedle tej rachuby miał czekać pan dyrektor przez tydzień, który się mógł okazać miljonem lat. Tymczasem jutro, „jutro, jutro z rannym brzaskiem" przyjdą tacy wytrawni specjaliści, którzy wyniosą biurko, stołki, ciężarną kasę, uległy dywan i będą próbowali zabrać świątynię mieszkanią, co im się też wreszcie kiedyś uda, kiedy nabiorą wprawę. ~~Można~~ wzruszyć skalę, można rzewnością lez najtwardszego ~~o~~ wygnąć Izraelitę, można ~~można~~ wzruszyć wydawcę, nikt jednak jeszcze nie wzruszył człowieka z wekslem. Próbował tego raz pomyślony jeden słowik, ale zdechl, bo od rozśpiewanego szłochu serce mu pękło. Trzebaby cudu, nato jednak trzeba być rabinem. Jakże tedy wytargować u mrocznej wieczności kilka dzionków, aby znaleźć na odmętach tę brzytwę, którejby się można chwycić i zacerpnąć powietrza? Jak powiedzieć człowiekowi z wekslem: „Chcę, ale nie mogę, podaruj mi tydzień!" — „Ha!" — ~~odtrąknij~~ odtrąknij człowieka z wekslem i ani słowa więcej. Potem wbije mu nóż w nieszczęsne osierdzie.

Pan dyrektor jęknął, a kasa, dając wreszcie znak życia, odpowiedziała mu też dudniącym jękiem. Poglądził ją za to miłośnic po brzuchu i usiadł przy biurku. Ujął pióro i nakreślił dwa słowa. Bystry czytelnik pojmie odrazu, że nie był to tytuł wiersza, ani początek piosenki, lecz owe dwa

żałobne, krepą owite i rozplakane słowa: „Mój testament”.

W kinematografie dzieje się zawsze tak, że bohater, który te słowa napisał, wyjmuje następnie z prawej szuflady biurka rewolwer, przez chwilę go ogląda, dziwnie się uśmiecha, płótno zaciemnia się, a w następnym obrazie jesteśmy już na cmentarzu. Pan dyrektor nie mógł naśladować tak doskonałego wzoru, gdyż nie miał rewolweru, i jedynie sznur portjery mógł mu oddać wyborną usługę. Trudno. Wedle stawu grobla.

Zdawało mu się, że światło przygasło, kiedy czarne litery w śmiertelnym ustawiał ordynku, a przez gabinet powiał wiatr. Gazeta zaszcześciła na biurku i jakgdyby usiłowała zwać z tego przybytku śmierci. Pokój jakgdyby ożywił się od chwili, kiedy z czeluści czarnej kasy śmierć wypelzła, jak nakrapiany wąż. Poruszyła się portjera, oczekując niecierpliwie na wisielca. Dyrektor spojrzał na nią przypadkiem, błędząc spojrzeniem, jakgdyby chcąc znaleźć dokoła siebie coś, co wartokomus zapisać w testamencie. Zdziwił się tedy cokolwiek, ujrawszy przedmiot do niego nienależący, bo rewolwer.

— Nie wiem skąd, alew samą porę! — pomyślał z wzruszeniem.

Za rewolwerem jednak ukazała się ręka, najzupełniej mu niepotrzebna, a za ręką żywe indywiduum z głową, która tylko przynadzwyczajnej pro-

tekcji mogłaby wzięć nagrodę na konkursie męskiej piękności.

— Czy pan do mnie? — zapytał dyrektor uprzejmie.

— Ręce do góry! — krzyknął nado bny mąż i wyszczerzył zęby, widocznie, aby pomóc rewolwerowi.

— Z przyjemnością, ale poco?

— Bo panu roztrzaskam leb!

— Z nieba mi spadłeś człowieku! — rzekł dyrektor wzruszonym głosem.

— Ręce do góry! Prędko!

— Mówilem już panu, że to nie ma sensu.

Opryszek spojrzał na niego trojgiem oczu, dwójgiem osobistych, dosć kaprawych, i czarnem okiem brzojująca, z wielkiem zdumieniem.

— Czemu pan nie podnosi rąk?

— Bo to nudne i męczące. Zamknij pan okno, bo nieznośnie wieje, i ktoś może pana zobaczyć. Po tem proszę usiąść...

Dientelman spojrzał na niego, jak na warjata.

— Czy pan jest urażony, czy si jol?

— Ani jedno, ani drugie.

— Ma pan broń?

— No gę pana tylko ugryźć.

— Niech się pan nie ruszał

— Ani myślę

— Jeśli się pan poruszy, to panu leb rozwałę.

— Zbytek łaski, zręztą pan i tak nie wystrzelił, bo się pan boi halasu. Chodźte pantu bliżej, dostu djablów.

— To jakaś podrywka! Niech pan odejdzie od biurka.

— Nigdy niczego nie odmówilem gościowi.

— Dobrze, a teraz niech pan tyłem podejdzie do mnie.

— Sam mnie pan do tego zmusza, że odwracam się tyłem do kogoś, co mnie raczył odwiedzić. Ach! jak minie miło!

Opryszek obszukał go błyskawicznie.

— A w biurku nie ma pan broni?

— Pan chce sprawdzić, ale czy to ładnie, by człowiek tak dotkliwie nie wierzył człowiekowi?

— Dzisiaj nikomu nie można wierzyć! — rzekł opryszek zawstydzony.

Przeszukał szuflady biurka i dodał z uznaniem:

— Ale panu można. W porządku!

— Bardzo mi to cieszy. Teraz niech pan schowa browning, gdyż ludzie wytworni nie rozmawiają z rewolwerem w ręce, niech pan usiądzie i niech mi pan zechce powiedzieć, czemu zawdzięczam tak miłe spotkanie?

— Czy pan tu jest sam?

— Nie!

Opryszek poru szył się niespokojnie.

— Kto tu jeszcze jest?

— Śmierć! — rzekł pan dyrektor wcale ponuro.

Gość przekrzywił śmiesznie głowę i spojrzał na niego podejrzliwym wzrokiem.

— Czy pan umie czytać?

— Jestem wykształcony! — rzekł opryszek.

— W takim razie niech pan przeczyta ten papier, leżąca na biurku.

Opryszek po chwili uczynił to, co pan dyrektor uczynił przedtem: gwizdnął i machnął ręką. Potem bolesnym ruchem włożył rewolwer do kieszeni, zbliżył się do otwartej kasy, obejrzał ją, smutno pokiwał głową i, straszliwie zbladły, usiadł na skórzanej kanapie.

— Wpadłem! — rzekł rzewnie.

— O, jak mi przykro!

— To już trzeci raz w tym tygodniu.

— Co pan mówi! I są tacy, co wam zazdrością...

— Ależ pan jest na głanc! To dlatego nie się pan niebał. Ja się więcej bałem... I pan chciał zrobić ze sobą koniec?

— Nietylko, że chciałem, ale choć w dalszym ciągu i dlatego bardzo cieszę się z poznania pana. Gdyż mi pan pewnie nie odmówi jednej drobnej rzeczy.

Gość spojrział na niego jak baran, znoważ oglupiał.

— Pan będzie tak dobry i pożycz mi swego rewolwera.

— Nigdy! — krzyknął opryszek.

— Czemuż pan jest tak nieuprzejmy. Czy panu żal, że ja się zastrzelę?

— To nie, ale jak ja potem odbiorę rewolwer?

— Policja panu zwróci...

— Wypłuj pan to słowo! Poltja rewolwer zwrócił, ale mnie nie zechce zwrócić.

— Aha! to bardzo prawdopodobne. Szkoda, wielka szkoda. Trzeba będzie się powiesić.

Opryszek podrapał się w głowę, co jest ozną ką, że głowa powzięła jakieś postanowie nie, lecz ty lko se nie jeszcze się wa ha.

— Bardzo mi pana żal — rze ki — chociaż pan jest burżuj.. Nie ma paniunej rady?

— Nie... Ale czekaj pan! Można by zrobić mały szwindel, gdyby mi pan chciał dopomóc.

— Ja? To się nie do zrobić. Ja jestem uczciwym człowiekiem!

— Od chwili, kiedy pan schował browning, nie śmiałbym temu zaprzeczyć.

— Czy to wielkie paskudztwo?

— Wcale małe. Uważa pan, sprawa jest taka: gdybym przetrzymał ty dzień, możeby mi się udało wybrnąć, w tym edu jednak musiałbym ulagodzić wierzycielom (okazać im się chciałem, ale narazie nie mogłem. A czemu nie mogłem? Bo mnie dzisiejszej nocy okradli. Jakiś drab roz puł kasę i zabrał przygotowaną gotówkę. Wierzyciele wzruszą się i dażą mi odetchnąć. To pańska wizyta taki we mnie urodziła pomysł. Co panna to?

— To jest grube ha jactwo!

— Ja wiem, że pan jest na te rzeczy bardzo czuły, ale uważa pan, ja to wezmę na swoje sumienie a pan mi tylko pomoże i rozpruje kasę.

— Nigdy tego nie zrobić!

— Zrobi pan. POCO pan tu przyszedł?

— Wywłaszczyc pana

— Byłby pan rozbiłkasę?

— Tak, bo nie wiedziałbym, że jest pusta.

Skłólbym pana potera i tyle, ale otwierać otwartą kasę, o której wiem, że wniej nie niema, tonie jest honorowa sprawa. Zawsze trzeba pracować dla idei. A tak co? Miałbym uczucie, że znieważam tru pa, albosię zęcam nadbezhronnym. To brzydka sprawa.

— Rozumiem pana, jednak niech pan to dla mnie zrobi. POCO ma pan odchodzić z próżnemi rękami?

— Z próżnemi, jak z próżnemi, bo zabiorę panu futro.

— Futro? Pan jest zbyt laskaw, że stary płaszcz nazywa futrem. O, tam więc!

Opryszek wyjął usta z prawdziwym niesmakiem.

— Dawno już tak nie wpadłem — rzekł ponuro.

— Widzi pan! Czyż nielepiej prze to zarobić

— Jako „zarobić“?

— Przecie za darmo nie będzie pan pracował. Ma pan narzędzia?

— Coś tam mam..

— Ile to będzie kosztowało?

Dżentelmann obejrzał starannie kasę, jak lekarz chorego; stukał, pukał, mierzył grubość stalowej

ściany, długo obliczał, patrzył w powalę, potem znów na kasę, wreszcie rzekł:

— Dwie godziny roboty. Pięćset złotych!

Dyrektor oburzył się.

— Panie, czyś pan oszalał? Za dwie godziny? Kto tyle zarabia?

— Zapytaj pan tego adwokata, co innieniedawno bronił; pyskował przez dwie godziny i wziął tysiąc. Da pan czterysta?

— Nie dam.

— To rób pan sam. W całej Warszawie jest dwóch, trzech takich, jak ja. Udało się panu spotkać najlepszego majstra, a taguje się pan, jak żyd. Ile pa n da?

— Dwieście, i sam panu będę pomagał.

— Byle nieto! Fuszer nie może brać się do delikatnej roboty, bo zaraz poznają. *to* to szwindel; to trzeba robić precyzyjnie. Ostatnie słowo: dwieście pięćdziesiąt.

— Pan jest ciężki w interesach!

— Ale honorowy. Przecie mógłbym panu za brać pieniądze i pójść sobie.

— A ja się weale tego nie boję!

— Bo pan widzi, że ma pan do czynienia z uczciwym człowiekiem. Więc zgoda?

— Zgoda!

— Będzie zrobione elegancko. Potem pan wyjdzie drzwiami, a ja oknem.

— Nie złapią pana?

— Czy pan mówi do dziecka, czy do fachowca?

Jazda, bo szkoda czasu! Zamknij pan tę sierotę i niech się pan przygląda, bo nigdy nie wiadomo, co się komu w życiu przyda. Ale jeden warunek: niech pan moje honorarjum włoży przedtem do kasy, to mi się lepiej będzie pracowało.

— Słuszna uwaga!

Dyrektor podszedł do biurka, długo, długo szukał, poczem włożył do kasy zamkniętą kopertę.

— Wal pan! — rzekł wesoło.

Tajemniczy Diems spojrzał na kasę, jak na kochankę, i zaczął pracować w ucieszeniu. Oczy mu błyszczały, jakby natchnione i chmurne. Piścił się swoją robotą, a kasa poddawała mu się ulegle, jak rozmówiana hurysa.

Dyrektor przyglądał się z niezwykłym uznaniem i z głębokim szacunkiem dla wybornej goznowstwa; wydawał czasem okrzyki podziwu, kiedy stalowa blacha darta się, jak papier.

— Cesaarskie cięcie! — zaśmiał.

— Gotowe! — rzekł pracowity dżentelman, ocierając pot z czoła. — Robiłem zmienioną cokolwiek metodą, aby nie poznali, że to ja, zresztą mam doskonałe alibi.

— Boję się, czy pana nie skrzywdziłem — rzekł melancholijnie dyrektor. — Znalazł pan kopertę?

— Jest!

— Uczciwie pan zarobił tę drobnostkę...

Oprzyzek wydał głuchy jęk.

— Co to? Co to znaczy? — zakrzyknął.

— Jakte co? Honorarjum...

— Przecie to nie pieniądze, to weksel!

— A cóż pan myślał, że pan dostanie gotówkę? Z księżycy pan zleciał, czy co? Kto dziś płaci gotówką? Jest to pierwszorzędnny weksel Cyterszpila i Kanarka.

— Co ja mam z tem zrobić?

— Podpisać imieniem i nazwiskiem i puścić w h. Pr. k. sk. k. sl.

Dziatelman spojrzal na niego z brzyźdzącym politowaniem.

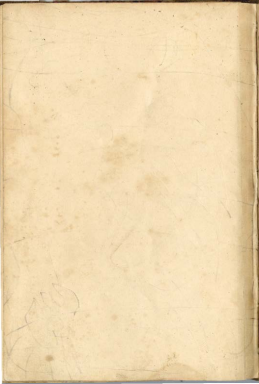
— Szkoda, że pan się nie powiesił — rzekł poważnie.

— Nie dziś, to jutro — odrzekł dyrektor.



SPIS WZECZY.

	Str.
Przedmowa i wstęp	7
Mój pierwszy raj	27
Naczyńcie się słodko	30
Głębokiego Baradelli	32
Mój śmiertelny wróg	38
Adama	41
<u>Śliczna noc</u>	110
Sprawa o pocałunek	140
Takie czasy	145







No. 100
1870

Received of the
Hon. Secy of the
War Dept.
the sum of \$100.00
for the purchase of
land for the
use of the
Army
at
Fort
Mifflin
Pa.
this 10th day of
April 1870



